

Opracował dla Młodzieży

S. SIEROSŁAWSKI

BALONEM
DO BIEGUNA



II

BALONEM DO BIEGUNA

BALONEM DO BIEGUNA

OPRACOWAŁ

DLA MŁODZIEŻY

STANISŁAW SIEROSŁAWSKI



WARSZAWA

NAKLAD TOW. AKC. WYDAWNICZEGO „ŚWIAT.“
WYDAWNICTWO: BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY.

1914.



45 688/2

K-86/47/67826

ROZDZIAŁ VIII.

Zdradziecki wentyl.

Wygrałeś zakład! — powtórzyła tryumfująco pani Elliot.

Niezwykła podróż tak pochłaniała ich uwagę, że zapomnieli niemal całkiem o uczynionym zakładzie. Zdobycie bieguna było przecież donioślejszym celem. Jednak i milion dolarów był bardzo pokaźną sumą. Amerykanin naprawdę cieszył się bardziej odniesionym tryumfem, niż pieniędzmi. Jeszcze przed dwoma dniami tryumf ten wydawał się bardzo wątpliwym. „Gwiazda Polarna“ miała zaledwie cztery miesiące czasu do rozporządzenia, a w tem tylko jeden jedyny miesiąc letni, podczas którego morza te były wolne od lodów. W tych warunkach przeciwnik sir

Balonem do bieguna.

Elliota, król miedziany, Hobson, liczył już prawdopodobnie na pewną wygraną.

Na prośbę amerykańina Stanisław wysłał natychmiast depeszę telegrafem bez drutu; aparaty telegrafem również nic nie ucierpiały podczas zderzenia łodzi ze skałą.

Zaledwie ostatnie iskry elektryczne rozproszyły się we mgle, nadeszła odpowiedź z pokładu „Gwiazdy Polarnej“. Komendant statku, Willy Harris, złożył miliarderowi serdeczne życzenia i doniósł, że, ominąwszy Szpicberg, będzie od poniedziałku krążył po Morzu Polarnem, oczekując tam na wiadomości i na podróżników.

Sir Elliot w uniesieniu radości podwoił żołąd załodze statku i przyrzekł telegraficznie każdemu z marynarzy 1000 dolarów wynagrodzenia, jeżeli uda mu się dotrzeć szczęśliwie do bieguna.

I znowu nieustraszeni podróżnicy mieli sposobność skorzystać z olbrzymich zdobyczy, jakie wiedza ludzka poczyniła w ciągu ostatnich lat trzydziestu. Dawniej badacze, zapuszczający się w krainy podbiegunowe, byli przez całe miesiące, a nawet lata, zupełnie odcięci od świata. Nansen, Cagni i inni dopiero w długi czas po ukończeniu swych wypraw mogli donieść o ich wyniku. A tymczasem o każdym ruchu balonu świat dowia-

dywał się niemal natychmiast, bo kapitan „Gwiazdy Polarnej“ przysyłał zaraz otrzymywane wiadomości, również przy pomocy telegrafu bez drutu, do stacyi iskrowych norweskich, skąd zwykłym już telegrafem rozchodziły się po całym świecie.

Podróżnicy spisali szczegółowy protokół o wygraniu zakładu, poczem zasiedli do śniadania. Pani Eliot podawała każdemu zimne potrawy i gorącą herbatę. Ale trzeba było wypijać ją spiesznie, mróz dochodził teraz do 37 stopni, więc łatwo można było znaleźć w filiżance zamiast rozgrzewającego napoju kawałek lodu.

Profesor Petersen, na prośbę Stanisława, jeszcze raz obliczył szerokość geograficzną. Znajdowali się w szerokości 87° 59'.

— Wedle jakiej gwiazdy orientujesz się pan, panie profesorze.

— Według Polluksa. Jest to gwiazda pierwszej wielkości i trudno pomylić się co do niej. Niedaleko zaś znajduje się gwiazda trzeciej wielkości, zwana Kastor, której wprawdzie nie widzę wyraźnie, ale która pomaga mi do obliczeń.

— A zatem jesteśmy oddaleni od bieguna zaledwie o 240 kilometrów.

— O 242, należy bowiem wziąć w rachubę spłaszczenie kuli ziemskiej na biegu-

nie. Wynaleziony przezemnie aparat wyklucza wszelką pomyłkę, z jego pomocą wskaże panu punkt biegunowy ziemi z największą dokładnością.

— Więc w drogę! Nastawiam motor na największą szybkość.

Nikt nie wątpił już, że niebawem dotrą do bieguna. Niepokoilo ich to jedynie, że mgły stawały się coraz gęstsze.

— Jeżeli pogoda nie ulegnie zmianie — oświadczył amerykańnin — zobaczymy na biegunie akurat tyle co ślepy na wystawie obrazów.

Słuchający uśmiechnęli się smętnie; porównanie było trafne, chociaż bynajmniej nie pocieszające.

— I im niżej się opuścimy—mówił dalej miliardier—tem mniej będziemy widzieć, mgła bowiem jest coraz gęstsza ku powierzchni ziemi.

— Więc wzniesmy się w górę, aby wydobyc się z pośród mgieł—odezwał się profesor Petersen.—Gdybyśmy nawet nie zobaczyli bieguna, to i tak aparat mój pozwoli poczynić niezmiernie doniosłe spostrzeżenia astronomiczne. Pomyślcie tylko, że ujrzymy gwiazdę polarną w samym zenicie, tuż nad sobą.

— Tak jest—przerwał Stanisław—mógłbyś ją pan zobaczyć, gdybyś się pan wydra-

pał z „instrumentem“ na klapę wentyla, jak to niedawno uczynił niegodziwy Bob, narażając mnie na taki kłopot. Inaczej powłoka balonu zakrywać będzie niebo przed naszymi oczyma.

— Dobrze, przyznaję, że to istotnie niemożliwe. Ale możemy przecież dokonać spostrzeżeń co do innych gwiazd, spostrzeżeń, jakich nie uczynił dotychczas żaden z astronomów. Proponuję więc, aby bezwarunkowo wzniesić się jeszcze o 1000 metrów w górę.

— Jeżeli pan mniemasz, że obserwacje te są potrzebne — zwrócił się Stanisław do amerykańnina — spróbuję wzniesić się ponad mgły.

— O tem może rozstrzygać tylko nasz kochany profesor.

— W górę! w górę! — wołał Petersen. — I to jak najszybciej.

— Posiadamy jeszcze tylko 360 kilogramów balastu—zauważył Stanisław — musimy więc oszczędzać go jaknajbardziej. A więc na razie poradzimy sobie inaczej i przedewszystkiem oderwiemy lód, obciążający bardzo silnie lódź i liny.

Wszyscy zabrali się ochoczo do pracy, pomagała w niej nawet pani Elliot i Krzysia.

W miarę, jak opadały sople zlodowacialego szronu, balon wznosił się ku górze. Sta-

nisław wyrzucił jeszcze trzy worki balastu i o godzinie 2-giej popołudniu „Patria“ znalazła się w wysokości 1920 metrów.

— Brr! Jakże zimno!—skarżył się amerykańnin, szcękając zębami.

Stanisław spojrział na termometr. Temperatura wynosiła 57 stopni poniżej zera. Zimno sprawiało wprost ból! Pani Elliot i Krzysia schroniły się do namiotu, reszta obecnych otuliła się w futra i zakryła twarze futrzanymi maskami. Para wychodząca z ust, zamarała natychmiast, tworząc na okryciu twarzy lodowe sople.

Mimo wszystko mgła, zamiast rzednąć, wydawała się coraz gęstsza. Profesor zaledwie mógł jeszcze rozróżnić gwiazdę Polluks przez doskonałe szkła swego aparatu. Stwierdził jednak, że od bieguna dzieli ich tylko 47 minut geograficznych, a więc niespełna 87 kilometrów.

Na prośbę sir Elliota Stanisław wysłał telegrafem bez drutu następującą depezę:

„Za dwie godziny będziemy na biegunie“.

Zimno stawało się nieznośne; członki kostniały, pomimo futrzanych okryć; coraz trudniej było oddychać.

— Nie czuję już steru pod ręką—oświadczył wreszcie Stanisław.

— Musimy się opuścić w dół—przytwier-

dził amerykańnin. — Nie można wytrzymać takiego zimna.

Ponieważ balon opuszczał się bardzo powoli, więc Stanisław sięgnął ręką do liny wentyla, by przyspieszyć opadanie. Nadaremnie jednak usiłował zamknąć skostniałe palce.

— Nie dam rady —rzekł — niech mi pan pomoże, panie Elliot.

Amerykanin spróbował pociągnąć linę, ale nie wiele więcej zdołał osiągnąć mimo wysiłku. Zawołał więc Boba, który najmniej z wszystkich obecnych odczuwał przeżarliwe zimno i wytłumaczył mu, co ma robić.

Murzynek uradowany, że wezwano go do pomocy, szarpnął z całej siły linę.

Wśród panującej naokół ciszy rozległ się świst gazu, uchodzącego z wentyla.

— Dosyć!—wołał Stanisław.—Dosyć! Na miłość Boga! cały gaz ujdzie z balonu!

Aczkolwiek jednak murzynek puścił linę, świst trwał dalej i raczej potęgował się, niż milknął.

Stanisław wydał okrzyk rozpaczny.

— Co się stało? — spytała Krzysia, biegnąc z namiotu.

— Wentyl zepsuty. Gaz ulatuje z balonu. Spadamy! Spadamy!

Stanisław drżącym głosem powtórzył tę straszną nowinę. Sir Elliot spoglądał na niego na wpół przytomnym wzrokiem; profesor Petersen siedział bez ruchu przy swym aparacie, zimno sparaliżowało całkiem jego wolę i zdolność działania.

Barometr spadał coraz niżej, a równocześnie podnosił się słupek zabarwionego alkoholu w termometrze. Ze względu bowiem na bardzo niskie temperatury, rurka termometru była napelniona tym płynem, a nie rtęcią, która w okolicach podbiegunowych często zamarza.

Pani Elliot ukłękła i ukrywszy twarz w dłoniach, modliła się żarliwie.

Tylko murzynek nie pojmował grożącego niebezpieczeństwa. Wypełnił dokładnie to, czego od niego żądano i dziwił się, że nikt go nie chwali i że wszyscy, przeciwnie, są tak smutni. Nie wiedział, że jedyna usługa, jaką oddał podczas podróży, powodowała właśnie nieuniknioną katastrofę balonu.

Wskazówka barometru wskazywała teraz 500 metrów.

Stanisław ostatnim wysiłkiem woli otrząsnął się z przerażenia; obudziło się w nim

poczucie odpowiedzialności za losy podróżników.

— Wyrzucać balast!—zawołał—Prędzej! Jeszcze! Jeszcze!

Równocześnie wyrzucił sam jeden, drugi, trzeci worek, amerykańnin poszedł za jego przykładem.

Balon spadał teraz nieco powolniej. Ale wentyl pozostał otwarty, gaz uchodził dalej, powłoka balonu marszczyła się coraz bardziej.

Jeszcze tylko 300 metrów oddzielało ich od powierzchni ziemi.

Stanisław zastanowił się, w jakiby sposób można złagodzić zderzenie z ziemią; gdyby przynajmniej rozwinąć linę holowniczą. Ale na to już zapóźno. Za minutę łódź balonu zetknie się z ziemią.

Teraz można już nawet rozróżnić powierzchnię: bezbrzeżna płaszczyzna, zasłana śniegiem. Wbrew przewidywaniom, mgła tu rzadsza, aniżeli wysoko w górze.

W chwili, gdy „Patria“ spadła już poniżej 150 metrów, zauważył Stanisław, że ster wysokości jest opuszczony ku dołowi. Nadał mu ten kierunek, gdy chcieli opaść ku ziemi, a potem zapomniał o tem.

Szarpnął silnie kołem sterowem, ster wy-

sokości podniósł się, a równocześnie balon zatrzymał się w upadku, jakby zahamowany.

„Patria“ pędziła teraz całą siłą motoru równolegle z śnieżystą płaszczyzną; balon przemienił się na chwilę w latawca, poruszającego się naprzód z szybkością 80 kilometrów na godzinę.

Chwila upadku odwlokła się nieco. Młody oficer pozyskał czas do opuszczenia liny holowniczej.

Gdy balon znajdował się już nad samą ziemią, Stanisław zatrzymał motor. Śmigła obróciły się jeszcze kilkaset razy własnym rozpędem, poczem przestały się poruszać. Łódź dotykała już prawie śniegów. W tej chwili jednak sanki samochodowe zderzyły się z powierzchnią ziemi, zerwały się ostatnie sznury, łączące je z podstawą łodzi, a balon uwolniony od ciężaru, raz jeszcze uniósł się nieco w górę.

— Trzymać się mocno — wołał Stanisław.

Łódź wlokła się jeszcze na przestrzeni kilkuset metrów, potem przechyliła się na bok i zatrzymała w miejscu.

Niebezpieczeństwo minęło. Los sprzyjał rozbitek; nie ponieśli żadnej szkody skutkiem upadku. W atmosferze panowała zupeł-

na cisza, nie wiał najłżejszy wiaterek. Olbrzymie ciało balonowe pochylało się powoli ku śnieżnej płaszczyźnie, niby tonący okręt.

Czyż nie był to istotnie tonący okręt? Przywiózł ich tutaj poprzez lody i śniegi, a teraz już nigdy więcej nie miał się wznieść w przestworza powietrzne.

Gaz uchodził ciągle przez otwarty wentyl. Słyszac ten nieustanny świst, Stanisław zapomniał o wszystkim innym. Temperatura wynosiła teraz tylko 32 stopnie, lecz z powodu spokoju powietrza nie odczuwali niemal wcale zimna. Przedtem mroził ich głównie pęd powietrza, wywołany ruchem balonu.

Badacze okolic podbiegunowych rzadko uskarżają się na zimno w dnie bezwietrzne. Nansen opowiada, że podczas jego dwuletniego pobytu na polach lodowych porucznik Hansen nieraz wychodził bez futra na wolne powietrze, mimo, że mróz dochodził do 36 stopni poniżej zera. Oczywiście tylko w pogodne dnie, bez wiatru.

Nie odczuwając też zupełnie mrozu, Stanisław szykko wysiadł z łodzi i pospieszył ku powłoce balonu, aby zamknąć wentyl.

Ciągle dręczyła go myśl, dlaczego wentyl pozostał otwarty. Czyżby Bob za mocno pociągnął linkę? Przy wentylu były przecież

silne sznury gumowe, zamykające go samoczynnie. Dlaczego nie działały?

Teraz trzeba było wdrapać się na wierzchołka balonowego i zamknąć otwór przez podniesienie klapy. Drabinka, wiodąca do wentyla, znajdowała się tak wysoko, że Stanisław nie mógł jej dosięgnąć. Trzeba było zatem wdrapać się po linach.

Stanisław zawahał się chwilę. Aczkolwiek poruszał się już dość swobodnie, to jednak przerażała go myśl o tem wspinaniu się za pomocą rąk, okrytych grubymi rękawicami. A rękawice musiał włożyć, bo gdyby dotknął metalu przy temperaturze 30 stopni zimna, sparzyłby sobie ręce. Zbyt dobrze przypominał sobie pewien wypadek, opisany w pamiętnikach Nansena.

Pewnego dnia, gdy zimno wynosiło 32 stopnie, jeden z psów polizał metalowy pierścień przy mostku okrętu „Fram“. I oto spierzony język przywarł tak silnie do mroźnego metalu, że biedne zwierze byłoby zginęło, gdyby nie to, że marynarze pospieszyli mu z pomocą i szybko rozgrzali nieco żelazo. Ale pies pozostał kaleką.

Młody oficer znał te szczegóły. I dlatego się wahał, co uczynić. W tem przypomniał sobie, że murzynek Bob jest prawie niewrażliwy na zimno. Więc murzynek mógłby naj-

lepiej dopomódz w tym wypadku, tem więcej, że poznał już sposób otwierania i zamykania wentyla podczas swej swawolnej zabawy w zatoce, gdzie „Gwiazda Polarna“ stała na kotwicy.

Za pośrednictwem sir Elliota wytłumaczył murzynkowi, czego ma dokonać. Bob, bez wahania, skoczył na liny i począł się drapać ku wentylowi.

Powoli mijały chwile, a każda z nich wydawała się Stanisławowi wiecznością. W głębokiej ciszy śnieżnej pustyni huczały poświsty ulatującego gazu, niby odległa burza.

A gaz ten był dla nieszczęśliwych rozbitków na biegunie tak samo potrzebnym, jak powietrze do oddychania. Nie mogli w żaden sposób powetować straty, ponieważ zapasy, znajdujące się w metalowych cylindrach, zużyto już podczas odjazdu. W obecnym zaś stanie balon nie mógł unieść sześciu osób.

Rozpacz młodego oficera dosięgała ostatecznych granic. Teraz dopiero z całą jasnością pojmował straszne położenie, w jakim się znaleźli. Po wyczerpaniu zapasów żywności groziła śmierć nieunikniona. Balon był ruiną, nie nadającą się do użycia. Sanki samochodowe? Tak, sanki pozostały im jeszcze, ale mogły one pomieścić tylko dwie osoby.

I czyż wogóle można było z ich pomocą przebyć tysiąc kilometrów, dzielących rozbitków od Ziemi Franciszka Józefa?

Gdyby przynajmniej udało się zamknąć balon natychmiast, to może uniósłby jeszcze dwie, może nawet cztery osoby, po wyrzuceniu wszystkich niepotrzebnych przyrządów, liny holowniczej, namiotu i t. d.

Kogóż jednak pozostawić w tej pustyni?

Podniecona wyobraźnia młodego oficera snuła straszne obrazy.

W tem świst ulatującego gazu ucichł nagle.

Bob pojawił się na szczycie balonu. Twarz jego błyszczała radością. Wydawała się niezwykle czarna w tem śnieżnym, białym otoczeniu, w tej okolicy, gdzie wszystko jest białe, niedźwiedzie, lisy, nawet ptaki.

Schodził powoli na dół, nie spiesząc się wcale. Potem opowiedział amerykańnikowi, co uczynił, a sir Elliot powtórzył natychmiast Stanisławowi jego słowa.

Sznur gumowy, zamykający samoczynnie klape, złamał się skutkiem zimna.

— To tłumaczy wszystko — mówił amerykańnik. — Niestety, nie liczyliśmy się z tą możliwością. Podróżnicy północni wiedzą, że kauczuk, oziębiony poniżej 50 stopni, traci

swą elastyczność i staje się kruchy. Gdyby „Patria“ posiadała stalowe sprężyny przy wentylach, katastrofa ta nie byłaby się wydarzyła.

Stanisław pojmował to teraz dobrze. Ale pomyślał też, że twórca balonu nie liczył się z możliwością tak niskich temperatur. A przytem zawinili sami, wznosząc się na wysokość 1000 metrów, zamiast uciekać przed zimnem ku ziemi.

Wynik tej nieprzezorności był okropny, „Patria“ spadła na ziemię. I chociaż ciało balonu, pomarszczone obficie, unosiło się jeszcze ponad śniegiem, nie mogło już unieść ich w górę.

W głowie młodego oficera krzyżowały się najrozmaitsze plany. Gdyby poświęcili motor, śmigły i przemienili balon sterowy na zwyczajny, może udałoby się jeszcze powrócić z prądem wicheru w zamieszkałe przez ludzi krainy.

Ale jeżeli nie doczekają się powietrznego prądu?

Albo jeżeli wicher zapędzi ich gdzieś na bezludne, dzikie wyspy przy wybrzeżach Ameryki północnej?

Zatopiony w rozmyślaniach, nie słyszał wcale, co mówił do niego profesor Pe-



tersen. Obudził go z zadumy dopiero głos Krzysi.

— Stasiu, sir Elliot wyruszył już do bieguna, chcąc cię wyprzedzić. Biegun jest oddalony od nas zaledwie o trzy godziny drogi. Spiesz się więc, braciszku.

ROZDZIAŁ IX.

Do bieguna.

Młody oficer osłupiał, usłyszawszy te słowa. Więc biegun znajdował się w odległości zaledwie trzech mil? Z jakąż więc szybkością leciał balon w ciągu ostatnich dwóch godzin.

Kiedyindziej wiadomość ta przepełniłaby zapewne jego serce bezmierną radością. Ale teraz obojętnie spoglądał na balon, leżący bezwładnie na ziemi i zwiesił smutnie głowę, jakgdyby chciał powiedzieć:

— Cóż pomoże, że jesteśmy tak blisko bieguna, skoro nie możemy stąd powrócić!

— Stasiu! wszakże mówiłam ci już, że sir Elliot wyruszył, aby cię wyprzedzić — powtórzyła Krysia.

Mówiąc to, wskazała ręką w kierunku, gdzie zniknął amerykańnin.

Młody oficer odruchowo spojrział w tę samą stronę; na świeżo spadłym śniegu widniały jeszcze odciski stóp.

Profesor Petersen stał nieruchomy przy lunecie, zatopiony w spostrzeżeniach astronomicznych i rozmyślaniu. Rozmyślał przede wszystkim nad tem, jakby przetransportować swój „instrument“ na biegun. Wprawdzie już z tego miejsca mógł obserwować to, czego nie oglądał jeszcze żaden z astronomów, ale cóż znaczyły te wszystkie spostrzeżenia i obliczenia wobec jednej jedynej obserwacji, przedsięwziętej na samym biegunie. Zapomniał już o przestrachu podczas upadku balonu, o powrocie zaś nie myślał jeszcze wcale.

Pani Elliot pozostała w łodzi. Dała mężowi sztandar amerykański, który dotąd troskliwie przechowywała, i nagliła go do pośpiechu, ponieważ pragnęła, aby Amerykanin był pierwszym człowiekiem, stającym na biegunie i aby sztandar amerykański powiał tam przed wszystkimi innymi.

— Spiesz się, Stasiu — prosiła Krzysia — powinieneś dogonić sir Elliota.

— Czy pojmujesz, siostrzyczko, że nie możemy już stąd powrócić, że balon nie zdoła nnieść wszystkich uczestników wyprawy i że niektórzy z nas muszą tutaj pozostać. A tym,

którzy pozostaną, grozi nieunikniona zagłada.

— Nie myśl teraz o tem, Stasiu — odezwała się młoda dziewczyna. — Przedewszystkiem należy spełnić obowiązek, jaki nakłada nam miłość ojczyzny. Musisz dogonić Amerykanina i razem z nim stanąć na biegunie.

— A jeżeli tymczasem zerwie się wicher i uniesie balon, tę jedyną naszą nadzieję ocalenia. Na tej olbrzymiej śnieżnej przestrzeni nie ma żadnego punktu oparcia, do którego możnaby przymocować liny.

— Miejmy nadzieję w miłosierdzie Boga. Przrzekam ci, że podczas twej nieobecności będę go pilnować.

— Na razie nie jest to potrzebne, nie nam nie grozi. Przrzeknij mi tylko, że nie wejdiesz z powrotem do łodzi i że nakłonisz panią Elliot, aby część zapasów żywności wyładowała na śnieg, na wszelki wypadek. A Bob niech nie wypuszcza z rąk liny holowniczej.

— Uczynię wszystko, co chcesz, Stasiu, ale idź już, mój drogi.

Młody oficer złożył pocałunek na czole siostry, a potem zwrócił się do astronoma:

— Niech mi pan wskaże najprostszą drogę do punktu biegunowego — rzekł.

— Idź pan dokładnie w kierunku tej le-

żącej łodzi. Biegun znajduje się w odległości trzech mil i czterechset metrów. Może się myśleć o kilka metrów, ale z pewnością nie więcej.

Już wyruszał w drogę, gdy Krzysia zawołała za nim:

— Zapominasz o tem, co najważniejsze.

Podawała mu mały, trójbarwny skrawek materii, oderwany z łodzi balonu.

— Jesteś fracuskim oficerem, więc masz obowiązek zatknąć jej barwy na biegunie, do którego docierasz z pomocą jej balonu. A drugiej swej ojczyźnie złożysz hołd tym oto znakiem.

Z głębokim wzruszeniem wręczyła mu małą chorągiewkę o polskich barwach.

— Uszyłam ją jeszcze na pokładzie „Gwiady Polarnej“, w przeddzień odjazdu. Weź ją, a duch dziadka, który wychował cię polakiem, niech cię prowadzi w tej trudnej wyprawie.

Na chwilę łyzy zatamowały jej głos w piersi.

Ale wnet zapanowała nad sobą.

— Zabierz również karabin i naboje—dodała.—Sir Elliot poszedł bez broni, a to może niedobrze.

— Pamiętasz o wszystkim, droga sio-

strzyczko — odpowiedział z tklivem wzruszeniem.

Poszedł teraz naprzód szybkim krokiem. Przed nim rozciągała się bezbrzeżna równina śnieżna, nie przecięta żadną rozpadliną, podobna gładkiej powierzchni zamarznętego jeziora. Niebawem balon zniknął mu z oczu; gdy się odwrócił, ujrzał i poza sobą równe olbrzymie, białe płaszczyzny. Odciski stóp amerykańczyka wskazywały mu drogę. Pospieszał tym śladem, licząc kroki i spoglądając kiedy niekiedy na busolę, aby stwierdzić, czy nie zbacza z prostej drogi. Jak obliczał, powinien był przejść trochę więcej ponad 7000 kroków, aby stanąć u celu.

Niezakłócona niczem cisza i osłepiająca biel śniegu stworzyły w jego duszy dziwny nastrój. Czuł się rozpaczliwie samotnym.

Badacze, dążący w pustynie Afryki, w dziewicze lasy Konga, na wyżyny Tybetu, wiedzą, że są pierwszymi ludźmi cywilizowanymi, stającymi w tych krainach. Ale wiedzą też, że temi samymi drogami kroczyli już przed nimi tubylcy, wiedzą, że mogą napotkać lada chwila jakieś ludzkie istoty.

Tutaj, w tem śnieżnym pustkowiu, było to wykluczone. Nigdy jeszcze noga ludzka nie postąpiła w tych okolicach, człowiek nie mógłby tu żyć i mieszkać. Oni byli pierw-

szymi ludźmi. którzy dotarli tak daleko, oni mieli nazwać tę krainę, oznaczyć ją na mapach geograficznych świata. Oni mieli powiedzieć ludzkości, czy w tym jedynym nieruchomym punkcie kuli ziemskiej znajduje się ląd, czy morze, pokryte wiecznym lodem. A wielkie odkrycie miało powiększyć chwałę Polski i Francji.

Pod wpływem tych myśli Stanisław począł iść szybko naprzód.

Kochana siostrzyczka doradzała dobrze; należało dogonić amerykańnika, nie pozwolić się wyprzedzić w dotarciu do bieguna.

Przystanął nagle, bo wydało mu się, że słyszy jakiś krzyk, czy wołanie o pomoc. Nie wiedział jednak, skąd dochodził ten głos. Czy to może wołała Krzysia? Nasłuchiwał pilnie, a równocześnie zdjął karabin z ramienia i odwiódł kurek.

Po chwili okrzyk rozległ się znowu, tym razem wyraźniej. W tej głębokiej ciszy, gdzie głuchły nawet własne kroki, stłumione grubym dywanem śnieżnym, omyłka była niemożliwa. Krzyk dochodził z północy; to amerykańnik wzywał pomocy.

Stanisław pobiegł naprzód, bacząc uważnie na ślady amerykańnika, widniejące na śniegu. Wtem zauważył obok jakieś inne odciski. Były to ślady olbrzymiej łapy, uzbro-

jonej pazurami. Tak potężne odnoża posiadał tylko jeden jedyny mieszkaniec okolic podbiegunowych, biały niedźwiedź. Przypatrzysz się dokładniej śladom, rozpoznasz, że niedźwiedź szedł z tyłu za sir Elliotem, niejednokrotnie bowiem zacierał swemi łapami odciski jego stóp. A że śnieg głuszył wszelki szmer, amerykańnik został widocznie z nie-nacka napadnięty przez potwornego wroga.

Powierzchnia śniegu była w tem miejscu pofalowana we wzgórze i kotliny. Stanąwszy na jednym z wynioślejszych pagórków, ujrzał nagle w odległości kilkunastu zaledwie kroków straszny obraz: Sir Elliot leżał powalony na ziemię, nad jego ciałem pochylał się olbrzymi niedźwiedź. Ze zduszonymi okrzykami nieszczęśliwego mieszał się groźny pomruk zwierzęcia, wyciągającego pazury. Nieco dalej leżał sztandar amerykański, poszarpany w kawałki.

W tej samej niemal chwili znalazł się Stanisław na polu walki. Niedźwiedź, zajęty ofiarą, spostrzegł go dopiero wtedy, gdy stanął tuż obok.

— Celuj pan dobrze — szepnął amerykańnik ostatnim wysiłkiem.

Trzy te słowa dowodziły, że sir Elliot

nie utracił zimnej krwi, mimo grożącego mu niebezpieczeństwa.

Młody oficer podniósł karabin i z odległości niespełna dwóch metrów strzelił prosto w otwartą paszczę zwierzęcia. Karabin był nabit wybuchającą kulą. I w tej samej chwili głowa niedźwiedzia odpadła, niby dojrzale jabłko z drzewa, olbrzymie cielsko runęło na ziemię, przygniatając amerykanina.

Gdy Stanisław dopomógł mu się wydobyć z pod kudłatego ciężaru, amerykanin uściskał go z wybuchem wdzięczności.

— Gdyby nie pomoc pańska—zawołał— zginąłbym tutaj bez ratunku!

Na szczęście, sir Elliot wyszedł niemal bez szwanku z przygody. Tylko na policzku widniała szeroka rana, rozdarta pazurem niedźwiedzim; krew jednak zastrzepla natychmiast wskutek mrozu.

Gdy uspokoił się nieco, opowiedział szczegóły swej przygody. Istotnie niedźwiedź ściagał go z tyłu. W pewnej chwili posłyszał sapanie zwierzęcia i odwrócił się jeszcze na czas, zanim niedźwiedź pochwycił go w swe łapy. Z razu bronił się amerykanin sztandarem „Gwiady Polarnej“, wywijając nim, jak szaleniec. Bał się uciekać, wiedząc, że nie zdoła ująć przed pościgiem. Wreszcie rozjuszony zwierz uderzył go silnie łapą i obalił

na ziemię. Grube futra złagodziły nieco straszliwy uścisk; równocześnie sir Elliot pochwycił niedźwiedzia za gardło. Ale czuł, że śmierć się przybliży, nie oczekiwał z nikąd ratunku.

— Panu zawdzięczam życie — zakończył opowiadanie.—I w dodatku gnębi mnie uczucie wstydu. Bo przecież skrycie wyszedłem z obozu, chcąc podstępnie wyprzedzić pana na biegunie, chcąc, aby najpierw powiała tutaj amerykańską flagą. Gdyby nie to, że pośpieszyłeś pan w moje ślady, z pewnością nie żył bym już teraz.

— Za ocalenie swoje podziękuj pan przede wszystkim Krzysi; ona to bowiem wyprawiła mnie tutaj, niemal wbrew mojej woli.

— O tak! siostrzyczka pańska jest dobrym duchem naszej wyprawy. Cieszyłbym się bardzo, gdybym mógł w jakiś sposób odplacić jej za wszystko dobre, jakie jej zawdzięczamy.

Zamyślił się przez chwilę, poczem mówił dalej:

— Ale także wobec pana muszę się poczuwać do wdzięczności. Mam nadzieję, że pozwolisz mi pan mienić się swoim przyjacielem. Ponieważ zaś nie jesteś pan nazbyt bogatym człowiekiem, racz przyjąć odemnie po-

łową sumy, jaką wygrywam obecnie dzięki twojej pomocy.

Stanisław uśmiechnął się smutnie.

— Oddajesz pan majątek w moje ręce. To prawda. I kiedyindziej nie wiedziałbym, jak podziękować za to. Lecz czy pan istotnie sądzisz, że odbierzesz tę wygraną?

— Jakto? Przecież sir Hobson jest jednym z największych bogaczy Ameryki. Nie obawiaj się pan; wypłaci ten milion dolarów natychmiast po naszym powrocie.

— Otóż to właśnie: po naszym powrocie! Czy sądzisz pan, że zdołamy stąd powrócić? Balon utracił tyle gazu, że nie potrafi już unieść nas wszystkich w powietrze.

— Mamy przecież sanki samochodowe, mamy zapasy żywności, a jak przekonaliśmy się dzisiaj, nie braknie tutaj i zwierzyny. Zresztą pan wymyślisz jakiś sposób ratunku, jestem tego pewien.

— Nie potrafię stworzyć wodoru z niczego, a tylko to mogłoby nas ocalić.

— W najgorszym razie ruszymy pieszo ku Ziemi Franciszka Józefa, wioząc nasze panie i zapasy na sankach. Posiadamy dostateczną ilość benzyny, posiadamy energię i wytrzymałość na trudy.

Chcąc, nie chcąc, musiał Stanisław po-

dziwiać odwagę amerykańcina i jego ufność w własne siły.

— Lecz teraz maszerujmy dalej do biega — oświadczył sir Elliot, zapominając o przebytych niebezpieczeństwach i o tych, jakie grozić mogły w najbliższej przyszłości.— Pozostaje jeszcze 3200 kroków, obliczałem je bowiem bardzo dokładnie aż do chwili spotkania z niedźwiedziem. A mam niezłomne przekonanie, że kochany profesor nie myli się w swych obliczeniach.

Już postąpili parę kroków naprzód, gdy nagle usłyszeli jakiś szmer, niby odległe sapanie lokomotywy. Przystanęli i nadsłuchiwali przez chwilę. W głuchoj ciszy, panującej dokoła, hałas dobiegał do ich uszu coraz wyraźniej.

— Ależ to huk motoru naszych sanek samochodowych—zawołał wreszcie sir Elliot.

— Niewątpliwie — przytwardził Stanisław.

Podniósł karabin w górę i wystrzelił dwukrotnie, aby wskazać jadącym właściwy kierunek drogi.

W dziesięć minut później ujrzeni już małutkie saneczki; Krzysia siedziała przy kole sterowym, poza nią ukazywała się chuda twarz pani Elliot.

— Czy to już biegun? — pytała Krzysia, zarumieniona od zimna.

Zanim Stanisław odpowiedział, rozległ się głośny okrzyk pani Elliot:

— Jamesie! Co się stało? Skąd ta straszna rana na twojej twarzy?

Amerykanin zbliżył się ku żonie i poprowadził ją kilkanaście kroków w tył, gdzie leżało olbrzymie cielsko niedźwiedzia. Lśniaca biel futra była gdzieniegdzie zupełnie czerwona zaskrzepłą krwią. Potem opowiedział jej krótko i spokojnie o przebiegu wypadku.

Wreszcie ruszyli wszyscy razem w dalszą drogę. Niezwykły i wdzięczny obraz przedstawiała ta wędrówka przez śnieżne pola. Przodem szedł Stanisław, trzymając karabin w pogotowiu, bacznie spojrzeniem rozglądając się dookoła. Tuż za nim postępował sir Elliot, wspierając się na ramieniu żony i odwracając się często z niepokojem, jakby w obawie, że lada chwila usłyszy poza sobą sapanie drugiego niedźwiedzia. Dopóki szedł sam, nie doznawał trwogi, teraz jednak obawiał się o zdrowie i życie ukochanej żony. Nieco dalej, to opóźniając się, to wyprzedzając innych, jechała Krystyna na sankach motorowych. Niekiedy znikwała nawet na chwilę poza śnieżnymi pagórkami, a wówczas Stani-

śław nawoływał trwożnie, aby nie oddalała się zbyt od idących.

Znajdowali się już bardzo blisko miejsca, które profesor wskazał jak biegunowy punkt ziemi, gdy nagle wysoki mur lodowy zagroził im dalszą drogę. Ściany, wysokości około 15 metrów, wznosiły się prostopadle w górę; tworzyły nieprzebytą zaporę i dla sanek i dla idących.

— Poszukam przejścia — zawołała Krzysia, zawracając sanki wzdłuż muru.

— Nie oddalaj się, siostrzyczko — krzyknął Stanisław — możesz łatwo wpaść w jakąś rozpadlinę, lub narazić się na inne niebezpieczeństwo.

— Nie bój się, Stasiu, nie przytrafi się mi nic złego; będę rozsądna i uważna.

Pomknęła chyżo naprzód, szukając prześmyku, którym mogliby się przedostać poza zaporę. Oboje Amerykanie i Stanisław przystanęli w miejscu, oczekując wyniku jej poszukiwań.

— Bądź ostrożna, siostrzyczko — nawoływał jeszcze kilkakrotnie młody oficer za odjeżdżającą.

Minęło kilka chwil; nagle umilkł hałas motoru, a równocześnie rozległ się głośny okrzyk Krzysi.

Stanisław pobiegł w tymże samym kie-

runku, gotując karabin do strzału; obawiał się, że siostrze wydarzyło się coś złego.

Lecz uspokoił się niebawem, gdy, wstąpiwszy na najbliższy wzgórek, ujrzał ją stojącą spokojnie obok sanek, które zatrzymała w wyłomie lodowego muru.

— Chodź tutaj prędko—wołała na niego i wskazywała ręką przed siebie.

Młody oficer pospieszył ku niej. To, co pokazywała, było rzeczywiście niezwykle dziwne. Mur lodowy otaczał dość dużą kotlinę, w środku której wznosił się wysoki wzgórek śnieżny, przypominający poniekąd swym wyglądem chaty eskimosów. Ale przede wszystkim zwracał uwagę inny, dziwniejszy jeszcze wybryk przyrody, która—jak wiadomo—często nadaje skałom lub drzewom kształt ludzkich postaci, potworów, czy jakichś przedmiotów. Oto na szczycie wzgórza wznosił się jakby sztandar, zrobiony ze śnieżnej skorupy; można było rozróżnić drzewce i materię.

Stanisław odłożył karabin i począł się wspinać na wzgórek, aby obejrzeć z bliska to niezwykle zjawisko przyrody. I w tejże samej prawie chwili wydał okrzyk zdumienia.

— Co to jest, Stasiu?

— Patrz! patrz!

I gdy z gorączkowym pośpiechem skruszył lodową powłokę, ukazała się pod nią barwna materya. Na niebieskiem polu widniał żółty krzyż.

— Sztandar Szwecyi! — wyrzekł młody oficer.

ROZDZIAŁ X.

Ofiary bieguna.

— Andrée—zawołali jednocześnie oboje, bo oboje przypomnieli sobie nieszczęśliwego szwedzkiego badacza, który wyruszył balonem na zdobycie bieguna północnego.

Ogarnęło ich niewypowiedziane wzruszenie. Ileż to razy rozmawiali podczas ostatnich dni o tym bohaterze, który nieustraszenie złożył życie na ołtarzu wiedzy. Tylko on mógł zatknąć w tem miejscu sztandar z szwedzkimi barwami. Tylko on mógł dotrzeć aż tutaj.

A raczej umarł tutaj; tak bowiem należało przypuszczać.

Tymczasem nadszedł amerykańnin z żoną. I on, obejrawszy sztandar, oświadczył, że jest to znak, pozostawiony przez szwedzkiego badacza.

— Biegun północny został już odkryty przez szweda—dodał—przybyliśmy za późno. Myśl ta nie obudziła jednak w ich sercach ani zawiści, ani niezadowolenia.

Wszakże człowiek, który wyprzedził ich tutaj, który dokonał dzieła, upragnionego przez tylu badaczy, przez tyle narodów, człowiek ten opłacił własnym życiem zwycięstwo.

Przez lata całe świat nie wiedział o bohaterkiem dziele, nie wiedział nic o losach nieustraszonego żeglarza powietrznego.

Teraz dopiero miał dowiedzieć się o tem od nich, a rozgłoszenie chwały nieszczęśliwego badacza miało im dać zadowolenie za poniesione trudy podróży, co więcej, złączyć na wieki ich nazwiska z chwałą szwedzkiego podróżnika.

Zapomnieli w tej chwili, że i przed nimi, jak niegdyś przed Andréem, droga powrotna jest zamknięta, że „Patria“, jak niegdyś „Orzeł“ Andréego, jest niezdatna do użytku, że i im może kazać los spocząć w tej samej mogile. Zapomnieli o wszystkim, a myśleli tylko o tych szczątkach szwedzkiej wyprawy, jakie widzieli przed sobą.

Pozatem nic tu nie świadczyło o obecności jakiejś ludzkiej istoty; wspomnieniem jej był tylko ten smutny grobowiec. Naokół rozciągała się bezbrzeżna, śnieżysta pustynia.

Stanisław ujął siostrę za rękę i stali tak oboje pogrążeni w zamysleniu.

Natomiast amerykańnin mimo wzruszenia, jakie go opanowało, nie zdołał przemódz ciekawości i począł szczegółowo badać kotlinę i pagórek. Żona towarzyszyła mu, podtrzymując go swem ramieniem. Nagle obsunęła się jej noga i wpadła w głęboką szczelinę wśród śniegu. Sir Elliot zsunął się za nią, chcąc jej dopomódz przy wdrapywaniu się pod górę. Przez chwilę byli oboje niewidzialni. Potem odezwał się głos amerykańnina, dźwięczący powagą i podnieceniem:

— Panie Kwieciński, chodź pan tu prędko!

— Cóż tam znowu? — zapytał młody oficer.

— Jesteśmy w dużej grocie, są tu zwłoki Andréego—zabrzmał głos z głębi.

— Zwłoki Andréego — powtórzyła Krzysia, a oczy jej rozszerzyły się przerażeniem, jakgdyby ujrzała upiora.

— Tak się boję, Stasiu—szepnęła. — Czy i nas czeka taki sam los?

— Pójdź śmiało, siostrzyczko—uspokajał Stanisław.—Nie traćmy ufności, że miłosierny Bóg ocali nas z pośród groźących niebezpieczeństw.

W chwilę później wszyscy czworo wcho-

dzili do groty; amerykańnin oświetlał drogę elektryczną latarką.

Podziemie, długości około trzech metrów, a szerokości ośmiu do dziewięciu, było wygrzebane w zlodowaciałym śniegu; sklepienie miało kształt kopuły, ściany były zczerniałe od dymu.

Wewnątrz groty spoczywały zwłoki dwóch ludzi, owinięte w worki do spania, uszyte z białych skór niedźwiedzi. Widać było tylko głowy, straszliwie wychudłe i ręce, podobne raczej do rąk szkieletów. Pożółkła skóra była pofałdowana głębokimi zmarszczkami, włosy, u jednego z leżących jasne, u drugiego rudawe, wyrosły do olbrzymiej długości.

Przez ile tygodni, przez ile miesięcy mieszkali tu ci ludzie, pozbawieni wszelkiej nadziei powrotu do cywilizowanego świata, liczący z dnia na dzień godziny, dzielące ich jeszcze od śmierci?

Widok był tak smutny, że nawet zaczerwieniona zimnym wiatrem twarzyczka Krzysii zbielała jak płótno.

Obok zwłok leżały najrozmaitsze przedmioty codziennego użytku. Nieszczęśliwi zapewne dla tego ułożyli je tak blisko siebie, aby módz dosięgnąć ich, nie wychodząc z ciepłych worków. Była tu więc latarnia, mały piecyk,

podręczna apteczka, puste puszki metalowe z konserw. Oparty o ścianę stał karabin i łopaty, któremi prawdopodobnie wygrzebali to podziemie.

Nie znaleziono natomiast obok zwłok ani śladu zapasów żywności, co dowodziło, że nie-szczęśliwi zginęli z głodu.

— Który z nich jest Andrée — szepnęła amerykańnikin.

Na pytanie to nie umieli sobie odpowiedzieć. Wprawdzie amerykańnikin widywał w swoim czasie w pismach podobizny Andrégo, ale po tylu latach nie mógł już sobie przypomnieć rysów jego twarzy.

Czy wogóle zwłoki jego znajdowały się tutaj. Jego, który był kierownikiem i duszą wyprawy? Wszakże wyruszyli w roku 1897 we trzech: Andrée, Strindberg i Fraenkel. Widocznie jeden zginął podczas podróży. Lecz w jaki sposób? Czy może wypadł z łodzi, a tylko dwaj pozostali zdołali dotrzeć aż tutaj? Czy może umarł już tutaj, a towarzysze pogrzebali go w wiecznych śniegach?

Były to wszystkie pytania bez odpowiedzi. Nie ulegało wątpliwości tylko to jedno, że wyprawa Andreego dotarła do bieguna północnego, lecz nie mogła powrócić do ojczyzny.

Obecni w głębokim milczeniu spoglądali

na te śmiertelne szczątki. Pomimowoli rozmyślali nad tem, że i ich samych czeka może los podobny. I oni także nie mieli sposobu powrotu do ojczyzny, groziła im śmierć bądź tutaj, bądź gdzieś dalej w śnieżnych stepach, po nowych trudach i niebezpieczeństwach.

— Chodźmy stąd, Stasiu—szepnęła Krzysia—to takie straszne.

Młody oficer podniósł właśnie mały zeszytek, leżący na ziemi przy zwłokach i przeglądał go przy świetle elektrycznej latarki. Ale ani on, ani amerykańnikin, nie potrafili odczytać znajdujących się w zeszytku zapisków, obaj bowiem nie znali szwedzkiego języka.

Szept Krzysia zwrócił myśli młodego oficera na inne tory.

— Tak jest—odezwał się— musimy niezwłocznie powracać do balonu.

Tymczasem amerykańnikin badał dalej wnętrze groty.

— Oto łódź ich balonu—rzekł.

Był to okrągły koszyk, upleciony z gałęzi wierzbowych, wysłany wewnątrz grubą warstwą nieprzemakalnego płótna. Z boku zwisało sześć lin konopnych, przeciętych gwałtownie nożem. Widocznie aeronauci byli zmuszeni lądować w pośpiechu i odcięli łódź od balonu, który wicher uniósł dalej w przestworze. Na daszku łódki widniała mała biała

chorągiewka z wyhaftowanym na środku krzyżem.

— Nieszczęśliwy André — odezwał się Amerykanin. — Przypominam sobie z opisów, że chorągiewkę tę umieścił jako znak rozpoznawczy pod sztandarem szwedzkim. Nie przypuszczał wtedy, że tak smutny los go spotka.

W głębi za łodzią odnalazł Amerykanin narty, oparte o ścianę, nieco dalej małe, doskonałe saneczki norweskie i niewielką składaną łódkę.

Stanisław i Krzysia wyszli przed grotę. Tutaj czekała ich nowa niespodzianka: śnieg padał olbrzymimi płatami.

— Początek końca — szepnął smutnie Stanisław.

— Czy sądzisz, że nawet gdybyśmy pozostawili wszystkie niepotrzebne ciężary, „Patricia“ nie zdoła już unieść nas w górę? — pytała również szeptem Krzysia.

— Ten opad śnieżny udaremni wszelkie nasze usiłowania. Ciężar śniegu przygniecie do reszty powłokę balonu i przykuje go do ziemi.

Amerykanin wyszedł wreszcie z podziemia, ciągnąc za sobą saneczki Andrégo.

— Jeżeli przyczepimy te saneczki do

naszych sanek motorowych, dotrzemy znacznie szybciej do balonu — oświadczył.

Młody oficer uznał pomysł za dobry, naglił jednak do natychmiastowego powrotu.

— Szkoda, że musimy już odjechać — odezwał się Amerykanin. — Bardzo chętnie spisałbym wszystko, co się znajduje w grocie, albowiem na tej podstawie moglibyśmy odtworzyć sobie szczegóły kilkomiesięcznego życia tych nieszczęśliwców.

— Jakto, przypuszczasz pan, że mieszkali tutaj przez kilka miesięcy? — pytał Stanisław.

— Niewątpliwie. W głębi jaskini znalazłem zbite deski, które prawdopodobnie służyły im za stół i ławy; narzędzia meteorologiczne są systematycznie rozmieszczone na ścianach; wreszcie dwie skóry niedźwiedzie i skóra białego lisa dają świadectwo, że mieszkańcy groty zajmowali się polowaniem. Zresztą dowiemy się o tem zapewne coś więcej z zapisków, które pan zabrałeś. Profesor Petersen jest Norwegiem, zna więc niechybnie także szwedzki język.

Daremnie starał się młody oficer prze-

rwać potok słów, płynących z ust amerykańskiej.

— Na Boga, ruszajmy z powrotem — przerwał mu wreszcie gwałtownie — mgła staje się coraz gęstsza, śnieg świeżo opadający zatarł nasze ślady, możemy się zabląkać wśród tej pustyni.

Podeszli ku sankom motorowym, które śnieg zasypał już niemal do połowy. Sir Elliot przywiązał do nich silnym sznurem sanki, przyciągnięte z grotu, poczem Krzysia puściła w ruch motor.

— Żałuję, że nie zabrałem aparatu fotograficznego — paplał dalej Amerykanin. — Fotografia wnętrza tej grotu byłaby dla nas najcenniejszym wspomnieniem, dla świata zaś najbardziej zajmującym dokumentem.

Bezwzględna ufność sir Elliota, że zdoła powrócić do ojczyzny, oddziaływała powoli uspokajająco na wszystkich. Nawet Stanisław, który w całej pełni zdawał sobie sprawę z tragicznego położenia, w jakim się znajdowali, począł jednak z pewną otuchą myśleć o przyszłości.

— Może nie wszystko jeszcze stracone — pocieszał się w duchu. — Może znajdzie się jeszcze jakiś środek ratunku.

Powracali ku balonowi, kierując się kom-

pasem. Po drodze wyminieli cielsko niedźwiedzia, podobne teraz małemu szaremu wżórkowi. Amerykanin chciał się zatrzymać, aby odciąć łapy niedźwiedzie, bardzo cennie przez smakoszków, ale Krzysia udała, że nie słyszy jego nawoływań i jechała dalej.

Wreszcie wśród śnieżnej równiny ukazał się olbrzymi balon. Z piersi Stanisława wyrwało się westchnienie ulgi, skoro się przekonał, że balon znajduje się w tem samym miejscu, gdzie go pozostawił. „Patria“ była przecież jedynym środkiem ratunku.

Murzynek wybiegł naprzeciw samochodu, wydając okrzyki radości i wyprawiając zabawne skoki. Niemniej ucieszył się ich powrotem profesor Petersen. Ponieważ śnieg uniemożliwił mu obserwacje astronomiczne przy pomocy „instrumentu“, nudził się strasznie od dłuższego już czasu.

Stanisław pospieszył natychmiast do balonu. Z radością stwierdził, że, po w pompowaniu pewnej ilości powietrza do wewnętrznego balonika, powłoka rozprężyła się nieco. Mimo że śnieg grubą warstwą legł na wierzchu powłoki, balon unosił się jeszcze w powietrzu i nie opadał bardziej ku ziemi. Na razie łódź i znajdujące się w niej przyrządy

obciążały dostatecznie balon; płonne były obawy, by wiatr, gdyby się nawet zerwał, mógł uprowadzić z sobą powietrzny statek.

Podczas gdy młody oficer badał stan balonu, pani Elliot opowiadała uczonemu o odkryciu groty i zwłok nieszczęśliwych podróżników do bieguna.

Skoro tylko profesor Petersen usłyszał pierwsze jej słowa, popieszył do Stanisława podniecony niezwykłym wzruszeniem.

— Panie poruczniku—wołał—nie odmówisz mi pan usługi, o którą proszę w imieniu nauki i w imieniu mojej ojczyzny. Ponieważ od miejsca, gdzie powiewa sztandar szwedzki nad zwłokami moich rodaków, dzieli nas zaledwie godzina drogi, pozwól pan swej siostrze, by zawiozła mnie tam sankami motorowemi. Pragnę złożyć hołd tym śmiertelnym szczątkom wielkich badaczy, a równocześnie poczynić pewne spostrzeżenia astronomiczne, które posiadać będą dla nauki niestychaną wartość.

— A jeżeli po ukończeniu tych spostrzeżeń nie zastaniesz pan już balonu? — odparł Stanisław.

— Jakto?

— Wystarczy przecież silniejszy podmuch wichru, aby balon popłynął w nieznaną krainę.

Profesor Petersen należał do ludzi, którzy nie łatwo wyrzekają się powziętych raz zamiarów.

— Więc skoro nie chcesz się pan zgodzić, bym pojechał w towarzystwie pańskiej siostry, w takim razie jedźmy tam wszyscy, zabierając balon ze sobą.

W pierwszej chwili słowa uczonego wydały się młodemu oficerowi niedorzecznością. Czyż wogóle można było marzyć o transportowaniu balonu na tak znaczną odległość? Podstawa łodzi zaryła się silnie w śniegi; i gdyby nawet podniesiono ją w górę, to czyż sześć osób, czterech mężczyzn i dwie kobiety, potrafiłoby przenieść taki ciężar o trzy mile dalej?

— Jak słyszałem, kotłnię otacza mur lodowy, wysokości około 15 metrów—mówił dalej niezrażony niczem profesor. — Byłaby to, mojem zdaniem, doskonała ochrona balonu przed nagłym uderzeniem wichru.

Ochrona balonu!

Te słowa przemawiały do przekonania. Stanisław zaczął się zastanawiać i uznał, że ten przypadkowy pomysł może się stać deską ocalenia. Nagły wicher uprowadziłby napewno balon z tego miejsca, to nie ulegało wątpliwości. A tam statek powietrzny był zupełnie zabezpieczony.

Ale jakim sposobem przeciągnąć balon aż tak daleko. Wtem przypomniał sobie, że posiadają przecież wyborne sanki, zabrane z groty. Jeżeli uda się podstawić je pod łódź i oprzeć na nich cały ciężar, jeżeli puści się motor w ruch, to obracające się śmigi powinny bez trudu pociągnąć balon i łódź po śniegu.

Wykonanie tego planu było zupełnie możliwe, to też Stanisław przedstawił go natychmiast towarzyszom podróży. Wszyscy zabrali się energicznie do pracy. Amerykanin przytoczył własnoręcznie łódź do sanek za pomocą silnych lin, a Stanisław puścił w ruch śmigi, które z ogromną szybkością poczęły uderzać w powietrze. Posuwał się tak chyżo naprzód, że obecni musieli biegnąć, aby nie pozostać w tyle. Wtedy Stanisław, przekonany już o powodzeniu planu, zabrał do łodzi balonu panią Elliot, profesora i murzynka, Krzysia zaś i amerykańnik usiedli w sankach motorowych.

Zachowując wszelkie środki ostrożności, przeprowadzono balon przez wyłom w murze lodowym i przytwierdzono silnie kotwicę tuż przy otworze groty. Teraz nie potrzebowali się niczego obawiać, przynajmniej tak długo, póki w atmosferze panował względny spokój.

Wyczerpani zmęczeniem i przebytemi wzruszeniami, dopiero teraz przypomnieli sobie, że od ośmiu godzin prawie nic nie mieli w ustach. Dzięki temu posiłek, podany przez Boba, zniknął niemal w jednej chwili.

Termometr wskazywał obecnie 18 stopni zimna. Ale ludziom, którzy niedawno byli wystawieni na działanie 55 stopni, temperatura ta wydawała się zupełnie znośną. Chwilowe zadowolenie pozwoliło im nawet zapomnieć o grożących w przyszłości niebezpieczeństwach.

Pamiętał o nich tylko Stanisław, który też zaraz po spożyciu posiłku począł się znowu zastanawiać nad możliwościami powrotu.

— Ponieważ motor nasz jest wbudowany w łódź i odjąć go nie potrafimy, musimy wogóle wyrzec się użycia tej łodzi—tłómaczył amerykańnikowi i profesorowi, których wezwał do wspólnej narady.—Natomiast zastąpimy ją łodzią Andrégo, znalezioną przez sir Elliota w głębi groty. Balon nasz nie zdoła unieść większego ciężaru, jak 3500 do 3800 kilogramów, zabierzemy zatem tylko zapasy żywności i odrobinę balastu, bez którego obejść się nie można.

— Czy jednak zdołamy się wszyscy po-

mieścić w tym wierzbowym koszyku?—pytał amerykanin.

— Spróbujemy. Będzie nam zapewne trochę niewygodnie, ale trudno. Lepiej narażić się na niewygodę, aniżeli na utratę życia.

— A cóż się stanie z moim aparatem?—wtrącił profesor.

— Pozostawimy go tutaj na dowód naszej bytności. Może też skorzysta z niego ktoś z przyszłych badaczy bieguna.

— Ależ pozbawiając się motoru, pozbawiamy się także możliwości sterowania balonem—dowodził sir Elliot.

— Zdamy się na łaskę wiatru — odparł Stanisław.

— A jeżeli wiatr zaniesie nas ku cieśninie Beringa, w okolice całkiem niezamieszkałe?

— Niestety, nie mamy wyboru.

W smutnem milczeniu przystępowali do pracy. Uczony przeniósł swój „instrument“ na szczyt mogiły i zabrał się do obserwacji astronomicznych, które miały rozślawić w całym świecie jego nazwisko.

Sir Elliot i murzynek udali się do grotty, aby przynieść łódkę Andréego; Stanisław wy-

bierał druciane liny, któremi zamierzał przymocować łódkę do balonu.

Pani Elliot szukała pociechy w modlitwie. Krzysia stanęła obok brata, chcąc dodać mu otuchy swoją obecnością.

Wszyscy byli ogromnie smutni.

ROZDZIAŁ XI.

Spuścizna Andrégo.

Amerikanin wybiegł nagle z grotu, krzycząc i wymachując gwałtownie rękami; na twarzy jego malowało się niezmierne podniecenie! Za nim pospieszał Bob, dźwigając podłużną, grubą rurę.

— Patrz pan! patrz pan! oto co znalazłem! Dwanaście takich rur jest zakopanych w ziemi! — wołał amerikanin niemal bez tchu.

Rura miała około metra długości; na jednym jej końcu znajdowało się zamknięcie rurowe, oraz kółko miedziane z wskazówką i znaczkami: *O*(otwarte), *Z*(zamknięte). Z boku rury widniał biało wymalowany napis: *Hydg. sol. Armstg. South. 1897.*

— Ten napis *Hydg.* — krzyczał sir Elliot —

oznacza niewątpliwie *hydrogenium*, co jest łacińską nazwą wodoru. Czy nie sądzisz pan, że jest to istotnie wodor?

To nieoczekiwane odkrycie mogło być ratunkiem balonu i ratunkiem rozbitków.

Na Stanisława okrzyk: „wodór!“ wywarł takie wrażenie, jakie wywiera zapewne na zabłąkanego wśród pustyni widok źródła świeżej, ożywczej wody.

Ten świeży gaz był krwią balonu. Dopelnwszy stratę, nie trzeba było porzucać starej łodzi, zamiast powierzać się łasce wicherów, mogli popłynąć o własnych siłach z pomocą motoru.

Ale niebawem młody oficer znowu opuścił smutnie głowę.

— A zatem znalazłeś pan tylko dwanaście takich rur? — zapytał smutnie.

— Tak jest, a oprócz nich jedną jeszcze grubą, krótką rurę z kurkami do otwierania i z podziałką. Nie domyślam się jednak, do czego mogłaby służyć.

— To zamało — powtarzał Stanisław. — Gdyby nasza strata gazu była tylko nieznaczna, moglibyśmy ją dzięki temu wybornie powetować. Ale w obecnym naszym położeniu 850 metrów sześciennych wodoru, taka bowiem ilość znajdować się może w tych rurach zgęszczona pod ciśnieniem 100 atmosfer,

w obecnym naszym położeniu, powtarzam, ilość ta jest znikomą małą.

Amerykanin zastanowił się przez chwilę, potem oblicze jego rozradowało się znowu:

— Nie rozpaczajmy jeszcze — rzekł — Słowo: *Armstg.* umieszczone na rurze oznacza zapewne: Armstrong. Jest to nazwisko głośnego angielskiego fabrykanta, który w miejscowości Southamton, określonej tutaj *South.*, wyrabia płynny wodór. Rury zatem zawierają znacznie więcej wodoru, aniżeli pan przypuszczasz.

Obaj pochylili się nad stalowym cylindrem.

Bob domyślił się widocznie, że odnalezienie rur jest radosnym wydarzeniem, zawołał bowiem:

— Bob przeniesie zaraz małych braci.

Nazwą tą określił inne rury.

Stanisław zastanawiał się nad tem, co mu powiedział amerykańnik. I nagle wydał głośny okrzyk radości:

— Tak! tak! Jesteśmy uratowani! Posiadamy więcej wodoru, aniżeli mogliśmy przypuszczać. Teraz rozumiem już wszystko. Słowo *sol.* jest skróceniem angielskiego wyrazu *solified.* Znaczy to, że wewnątrz cylindra znajduje się wodór stały. Tak! tak! Przypominam sobie teraz, że, jak mi opowiadano

kiedyś, André zabrał znaczny zapas wodoru stałego, którego dostarczył mu właśnie Armstrong. W takim razie w cylindrach tych kryje się ogromna ilość gazu.

— To kółko służy widocznie do otwierania—odezwał się amerykańnik, przekręcając je nieco.

Z otworu wytrysnął z głośnym hukiem srebrzysty strumień. Krople, podobne do płynnego metalu, upadły na ziemię, wyrwyjąc w śniegu szerokie otwory. Ale w tej samej chwili zniknęły, zamieniając się w gaz, z którego powstały.

Amerykanin zamknął szybko otwór rury.

— Nie potrafimy poradzić sobie z tak straszną siłą—odezwał się Stanisław, potrząsając głową. — Potęga wybuchowa tego gazu rozdarła by doszczętnie powłokę balonu.

— Co się tu dzieje?—spytał profesor Petersen, zbliżając się ku nim.

Opowiedziano mu o niezwykłym odkryciu. Profesor obejrzał zbiorniki, a wreszcie rzekł nauczającym tonem:

— Do licha! Tą ilością wodoru możnaby rozsadzać skały. Jak panom wiadomo, wodór jest metalem, aczkolwiek w naturze znajdujemy go w postaci gazu. Już skroplenie wodoru jest zadaniem niezmiernie trudnem. Do zamienienia gazu w ciało stałe używa Arm-

strong ciśnienia 200 do 300 atmosfer, proces zaś odbywa się w temperaturze około 150 stopni poniżej zera. Ze zbiornika zatem muszą wystrzelać istotnie pociski płynnego metalu. Radzę więc panom nie powtarzać tego doświadczenia, jest bowiem niezmiernie niebezpieczne.

— A jakże przemienić ten stały wodór w gaz, którym moglibyśmy wypełnić nasz balon? Radź pan, panie profesorze, od tego bowiem wyłącznie zależy nasze ocalenie i powrót do ojczyzny.

— Bardzo łatwo możemy zapanować nad siłą gazu i użyć go do naszych celów—odpowiedział uczony na pytanie młodego oficera—trzeba tylko odnaleźć aparat, służący do przemiany metalu w gaz. Andrée niewątpliwie posiadał ten przyrząd, skoro zabrał cylindry ze stałym wodorem, aby posłużyć się nimi podczas swej wyprawy. Aparat taki jest to dosyć duży zbiornik, podzielony wewnątrz na kilka przedziałów z samoczynnymi wentylami. Gaz, przechodząc z jednego przedziału do drugiego, rozpręża się powoli, aż wreszcie wydobywa się z przeciwnego otworu zupełnie zdalny do użytku.

Amerikanin szepnął kilka słów murzynkowi. Bob odbiegł spiesźnie, a w chwilę póź-

niej powrócił, dźwigając wspomniany już przez sir Elliota gruby, krótki cylinder.

— Otóż to właśnie przyrząd, o którym mówiłem—oświadczył profesor.—Należy przyśrubować go ostrożnie do zbiornika, drugi zaś przewód wprowadzić do balonu.

— Spieszmy się jednak, kochany profesorze—naglił Stanisław.—Barometr opada i to dosyć prędko, prócz tego czuć już lekkie podmuchy wiatru.

— Barometr opada?—powtórzył profesor, wkładając okulary.—To niebezpieczny objaw. Nie dziwiłbym się wcale, gdyby zaskoczył nas cyklon; w tych okolicach cyklony wydarzają się często.

Stanisław i amerykanin spojrzeli trwożnym wzrokiem na daleki horyzont. Ale zbliżająca się burza kryła się jeszcze poza zasłonami gęstych mgieł.

Stosując się do wskazówek profesora, połączył Stanisław oba cylindry i przekręcił kółko zbiornika. Rozległ się głośny huk, który niebawem przemienił się w równomierny donośny szum. Stanisław otworzył tymczasem kurki, wiodące do dalszych przewodów. Oba cylindry pokryły się grubą warstwą szronu, co dowodziło, że wewnątrz wytwarza się straszliwe zimno. Wreszcie otworzył młody oficer ostatni kurek, zamykający rurę, doprowadza-

jącą gaz do wnętrza balonu. Wodór wtargnął gwałtownie do balonu, ale opona wytrzymała ciśnienie. Z niezmierną szybkością wypływał gaz z uwięzi, w której pozostawał przez lat kilkanaście. Aby zabrać więcej tej krwi balonu, wypuścił Stanisław sporo powietrza z wewnętrznego balonika, służącego do wyprężania powłoki balonowej w razie mniejszej ilości gazu.

— Jeżeli burza pozostawi nam jeszcze trochę czasu, będziemy uratowani — odezwał się do Krzysi, nie przerywając swej pracy.

— Uratowani, dzięki spuściźnie tego nieszczęśliwego Andrégo—odparła Krzysia.

Zastanowiła się przez chwilę i dodała:

— Jaksądzisz, kiedy wyruszymy w drogę?

— Gdybyśmy wracali z tem samym obciążeniem, z jakim przybyliśmy tutaj, musielibyśmy poświęcić jeszcze kilka godzin na to, by balon odzyskał pierwotną siłę nośną. Ale pozostawiamy tutaj „instrument“ profesora, pozostawiamy sanki i część zapasów, więc sądzę, że wystarczy dwie godziny, aby napełnić balon dostateczną ilością gazu.

— Czy dozwolisz mi powrócić jeszcze do groty? O nie obawiaj się, będę bardzo przeczorna—mówiła, spostrzegając jego wahanie.— Pragnę pomodlić się jeszcze przy zwłokach tych nieszczęśliwych ludzi. Zresztą profesor

Petersen będzie mi towarzyszył, bo przynosi właśnie do groty części swego aparatu.

— Dobrze, siostrzyczko, idź. Ale uważaj ciągle na balon i gdybyś tylko zauważyła, że wiatr kołysze nim silnie, powracaj natychmiast.

— Daj mi jeszcze ten mały sztandar, który wręczyłam ci, kiedy spieszyłeś za sir Elliotem. Przykryję nim ich śmiertelne szczątki; niech przyszli badacze tych okolic zobaczą, jak Polska czci bohaterów, bez względu na ich narodowość.

Stanisław spełnił jej żądanie i pracował dalej nad napełnieniem balonu. Gaz napływał ciągle z tą samą siłą. Barometr przestał spadać, ciśnienie powietrza doszło widocznie do najniższego punktu. Balon kołysał się lekko, co było pierwszym objawem nadchodzącej burzy.

— Przywieś pan bo bokach łodzi worki z balastem i bądź gotów odciąć je na znak dany przezemnie. Profesor pomoże mi wyrzucić opróżnione zbiorniki gazu.

Mimo to że trzy cylindry gazu zasiliły już zawartość balonu, łódź ciągle leżała nieruchomie na ziemi. A przecież statek powietrzny miał zabrać jeszcze trzy osoby.

Z pomocą sir Elliota wprowadził Stanisław do balonu zawartość dwóch jeszcze zbiorników, poczem pozostawił amerykanina przy dalszem napełnianiu, a sam, upewniwszy się, że balon jest dobrze umocowany, pospieszył do groty po siostrę.

Obie z panią Elliot klęczały i modliły się cicho.

— Już czas — szepnął — za chwilę wyruszemy w drogę.

Powstały z klęczek, a pani Elliot pokazała mu mały portfel ze złotym monogramem.

— Znalazłam to pod głową tego jasnowłosego trupa. Spójrzysz pan na monogram: W. A. To więc jest Andréé.

Ukryła w kieszeni płaszcza cenną relikwię, potem zaś wyszli na śnieżną płaszczyznę.

— Pomóż mi, Stasiu, zasypać śniegiem wejście do groty—odezwała się Krystyna.

— Nie ma już na to czasu.

— Uczyni to koniecznie, Stasiu. Wierzę, że przyniesie nam to szczęście. Zakłóciliśmy spokój tych umarłych, nie możemy teraz pozostawić ich na pastwę dzikich zwierząt.

Stanisław, nie sprzeciwiając się dłużej, chwycił łopatę i począł szybko zwałać śnieg

przed wejściem do podziemia. Młoda dziewczyna udeptywała go nogami.

— Zegnaj, Andréé—szepnęła, kiedy otwór został już całkiem zakryty.

Powrócili do balonu, gdzie towarzysze oczekiwali ich z niecierpliwością. Wiatr wzmażał się i uderzał balonem o ścianę lodową. Nie można już było zwlekać ani chwili dłużej.

— Czy wszystko gotowe? — zapytał Stanisław.

Gdy zaś amerykanin odpowiedział twierdząco, zawołał:

— Niech pan odcina worki z balastem.

Równocześnie sam począł wyrzucać szybko próżne cylindry. Łódź podniosła się w górę, ale nie zdołała się wzbić ponad lodową skałę. Niebezpieczeństwo uszkodzenia śmig przy ciągłym kołysaniu się łodzi w zamkniętej przestrzeni wzrastało z każdą chwilą. Stanisław zdecydował się wyrzucić jeszcze trzy pełne zbiorniki gazu; balon dosięgał już niemal krańdzi wyniosłości.

— Czy odciąłeś pan linę kotwiczną?— spytał amerykanin.

— Już dawno.

— A gdzie Bob? Co się stało z Bobem?

— Zapomniałem o nim — odparł sir Elliot.

Przechyliwszy się przez burzę, ujrzał Stanisław nieszczęsnego murzynka, trzymającego się kurczowo metalowych podstaw łodzi. Do ostatniej chwili przytrzymywał, na rozkaz swego pana, linę kotwiczną. Skoro ujrzał, że amerykańnin ją odcina, uczepił się podstawy łodzi i teraz z nią obijał się o złomy lodowe.

Stanisław nie mógł powstrzymać okrzyku przerażenia.

— Śmierć tego człowieka jest pańską winą.

Głos młodego człowieka drżał gniewem i wzburzeniem.

— Postąpiłeś pan niegodziwie — dodała Krzysia.

Łódź balonu wahała się jeszcze ciągle poniżej krawędzi skalnej. Stanisław rozglądał się dokoła, szukając spojrzeniem, coby można jeszcze wyrzucić bez szkody. Wtem zauważył aparat do telegrafowania bez drutu. Czyż teraz mógł się im przydać podczas podróży przez dzikie bezludne pustkowia? Był już nieużytecznym zupełnie sprzętem.

Bez wahania więc chwycił parę ciężkich akumulatorów i wyrzucił z łodzi. Chciał uczy-

nić to samo z resztą przyrządów, ale w tej chwili profesor, spoglądający ustawicznie na barometr, dotknął ręką jego ramienia i rzekł:

— 90 metrów! Wznosimy się w górę.

Balon przesadził zaporę i, pochwycony siłą wiatru, pomknął naprzód z niezmierną szybkością.

Pola lodowe przesuwają się teraz błyskawicznie pod ich stopami; tu i ówdzie ukazywał się kawałeczek wolnej od lodów powierzchni morskiej, co świadczyło, że wielki ciepły prąd zatokowy dociera aż tutaj, w te odległe okolice.

Profesor Petersen siedział w tyle łodzi i spoglądał na krainę, której zbadanie miało mu zapewnić nieśmiertelną sławę.

Stanisław nie spuszczał wzroku z wskazówek barometru.

Krzysia nie mogła zapomnieć o nieszczęśliwym murzynku. Wydawało się jej, że widzi go biegającego po kotlinie i oczekującego z niepokojem powrotu balonu.

Nagle cofnęła się z przerażeniem, jak-gdyby ujrzała widmo.

Bo oto na poręczy łodzi ukazały się dwie czarne ręce, w ślad za nimi wynurzyła się kędzierzawa główka Boba. Murzynek prze-

trwał wszystkie trudy i powoli wydrapał się z podstawy na wierzch łodzi.

A stanąwszy wreszcie w bezpiecznym miejscu, przedewszystkiem powitał z niesłychaną radością swego pana, który tak niego-pziwie o nim zapomniał.

ROZDZIAŁ XIII.

W środku cyklonu.

Pochwycony potęgą cyklonu, balon stał się jakby pyłkiem w wszechświecie. Byłoby szaloną nierozwagą próbować walki z siłą burzy. Stanisław też nie pomyślał nawet o puszczeniu w ruch motoru. Stwierdziwszy, że balon utrzymuje się stale w wysokości mniej więcej 400 metrów nad powierzchnią morza, przestał spoglądać na barometr, a natomiast rozłożył mapę i wyjął kompas z kieszeni.

Niebawem przekonał się, że balon dąży w prostym kierunku ku gromadzie wysp, nazywanych Nowosyberyjskim archipelagiem. Nazwy dwóch wysp Benneta i Longa przypomniały mu kierowników głośnej wyprawy podbiegunowej okrętu „Jeannette“. Odległość od bieguna do Wyspy Henryki, wysuniętej

najbardziej na północ wśród archipelagu Nowosyberyjskiego, — wynosiła 1500 kilometrów. Poza archipelagiem rozciągało się Morze Nordenstkjölda, dalej jeszcze znajdowały się wybrzeża Syberii. Dopiero tam mogliby znaleźć znowu osady ludzkie.

Wędrowcy powietrzni z ciekawością i trwogą oglądali krainy, przesuwające się szybko pod ich stopami.

— Czy siła wichru jest bardzo duża? — spytał amerykańcin. — Może się łudzę, ale wydaje mi się, że ziemia coraz to szybciej ucieka nam z pod nóg. Przypuszczam, że jedziemy chyba conajmniej z szybkością 25 metrów na sekundę.

— Żeglarze powietrzni — odpowiedział Stanisław — uważają wicher o chyżości 25 metrów tylko za silny wiatr; przebywa się wówczas około 90 kilometrów na godzinę. Burzą nazywają go dopiero wtedy, gdy chyżość wynosi 25 do 30 metrów na sekundę, czyli 108 do 110 kilometrów na godzinę. Są jednak i silniejsze jeszcze wichry, dochodzące do chyżości 40 do 42 metrów na sekundę. Otóż, moim zdaniem, balon nasz jest unoszony „orkanem“ o takiej właśnie sile.

— Ależ w takim razie w ciągu zaledwie 10 godzin dolecielibyśmy do wybrzeży syberyjskich.

— Istotnie takby się stało, gdyby wicher pędził nas ciągle w prostym kierunku. Lecz w okolicach podbiegunowych wicher zmienia często kierunek. Może się więc zdarzyć, że zamiast na wybrzeża Syberii zapędzi nas półkolem ku Szpicbergowi.

Już po upływie paru godzin okazało się, że młody oficer nie mylił się w swych przewidywaniach. Balon, niesiony dalej wichrem z tą samą szybkością, zboczył ku cieśninie Behringa, potem zawrócił znowu, tak że linia podróży stała się podobna do litery S.

Stanisław z rosnącym zaniepokojeniem stwierdzał te wszystkie zwroty; obecnie uniemożliwiły mu zupełnie zorientowanie się w obliczaniu przebytej drogi.

Pokrzepili siły, spożywając trochę konserw, ogrzali się herbatą, przyrządzoną przez panią Elliot. Zresztą zimno nie dokuczało im nazbyt. Termometr wskazywał tylko 12 stopni poniżej zera, ponieważ zaś płynęli z wiatrem, mróz nie dawał się tak bardzo we znaki.

Orkan wzrastał się ciągle.

Z coraz większym zaniepokojeniem spoglądał Stanisław na barometr. Od dłuższego już czasu zauważył, że balon chociaż powoli lecz stale opada na dół. Powłoka przedziurawiła się widocznie podczas wielokrotnych uderzeń o skałę w chwili wzbijania się

w powietrze, a gaz uchodził teraz przez te otwory.

Ostrożnie wprowadził do wnętrza balonu zawartość ostatniego cylindra ze stałym wodorem, który zabrali z sobą. Opróżniony cylinder zachował w łodzi jako balast. A balastu posiadali już bardzo niewiele.

Aby z góry przygotować się na każdą możliwość, już teraz, w porozumieniu się z towarzyszami podróży, określił w jakim porządku wyrzucać będą z łodzi rozmaite przedmioty, by utrzymać balon w potrzebnej wysokości. Na pierwszy ogień miał pójść pusty zbiornik wodoru, potem reszta akkumulatorów, skrzynia z częściami zapasowymi, aparaty do telegrafii iskrowej; zbiornik benzyny, skrzynka z narzędziami, liny zapasowe, lina holownicza, namiot, trzy skrzynie konserw i dwa kosze środków żywności.

Licząc się z możliwością utraty prowiantów i wylądowaniem na polach lodowych, namówił Stanisław towarzyszy, aby możliwie najobficiej wypchali kieszenie środkami żywności. Wszyscy wybierali możliwie lekkie, a posilne produkty. Więc przedewszystkiem czekoladę, szynkę i ser. Na wszelki wypadek postanowiono również zachować karabin i trochę nabojów, oraz mały piecyk do topienia śniegu. Wreszcie wszyscy bez wyjątku za-

opatrzyli się w ciepłą odzież i ciepłe koce flanelowe.

Przygotowując się w ten sposób na chwilę niebezpieczeństwa, wszyscy pocieszali się nawzajem, że jednak uda się może jej uniknąć.

Tylko jeden profesor Petersen siedział osowiały na uboczu. Trzymał w ręku zeszytik, w którym zapisywał codziennie swoje spostrzeżenia, przeglądał raz po raz jego kartki, porównywał z sobą, obliczał na nowo i zapadał znów w głębokie zamyślenie. Smutek, malujący się na twarzy uczonego, zaniepokoił jego towarzyszy. Ale nie umieli odgadnąć tego przyczyny. Czy profesor opłakiwał może stratę swego „instrumentu“, skutkiem czego nie mógł obecnie dokonywać obserwacji astronomicznych? Czy żałował może, że skutkiem przedwczesnego odjazdu z bieguna nie zdołał dokończyć obliczeń, któreby na cały świat rozślawiły jego nazwisko?

Balon opadał coraz niżej. Grożące niebezpieczeństwo odwróciło uwagę wędrowców od zasmuconego profesora. Zajęli się teraz wyrzucaniem balastu w określonym już poprzednio porządku.

— A czy nie możnaby postąpić w ten sposób, jak podczas wylądowania w pobliżu bieguna, kiedy, nastawiając stery, ocaliłeś nas

pan przed upadkiem — zapytała nagle pani Elliot.

— Był to świetny pomysł — zauważył amerykańnin — te poziome płaszczyzny dokonały wprost cudu.

— Wówczas balon poruszał się własną chyżością, teraz zaś, niesieni wichrem, jesteśmy podobni łodzi, unoszonej gwałtownym prądem wody — odparł Stanisław.

— A czemuż nie skorzystamy z własnej chyżości? — upierał się amerykańnin. — Czemuż nie puścisz pan w ruch motoru? Przecież i tak postanowiłeś pan wyrzucić zbiornik benzyny, więc nie potrzebujemy jej oszczędzać. A w każdym razie szybciej pojedziemy naprzód.

Młody oficer uznał słuszność tej uwagi. Warknęły śmigły, a coraz dotkliwsze zimno dowodziło, że balon posuwa się naprzód z większą chyżością.

Po upływie godziny dostrzegli jakieś ciemne plamy w kierunku południowo-zachodnim. Amerykanin poprosił profesora Petersena, aby określił w przybliżeniu miejsce, gdzie się znajdują.

Uczony odburknął gniewnie, żądając, by pozostawiono go w spokoju i z uporem przeprowadzał dalsze obliczenia. Potem schował zeszyty do kieszeni i wyszukawszy kartkę papieru, pisał na niej pospiesznie jakieś słowa.

Przez godzinę jeszcze utrzymywał się balon przy pomocy płaszczyzn sterowych w wysokości 500 do 300 metrów. Ponieważ jednak gaz uchodził coraz bardziej, trzeba było znowu wyrzucić balast. Lina holownicza, liny zapasowe, reflektor elektryczny, aparaty do telegrafii iskrowej, spadały kolejno na beżmierną białą płaszczyznę.

I coraz bliższa była chwila, kiedy miało zabraknąć wszelkiego balastu, kiedy wylądowanie stawało się nieuniknione.

Miliarder objawiał coraz większe zaniepokojenie.

— Zdaje mi się — odezwał się wreszcie, — że lepiej byłoby zatrzymać zapasy żywności, jakie posiadamy i wylądować w tym miejscu, aniżeli pozbywać się ich, jako balastu, i ostatecznie znaleźć się również na lądzie w odległości kilkudziesięciu kilometrów dalej w zupełnym niedostatku.

Stanisław bardzo energicznie sprzeciwił się wylądowaniu; tylko balon mógł ich uratować, ułatwiając szybkie przebywanie olbrzymich przestrzeni. Gdyby wylądowali w tym miejscu, byłiby skazani na długą i trwającą tygodnie, a może i miesiące wędrówkę przez pola lodowe.

Aby przerywać spór na ten temat, młody oficer pochwycił obok stojącą skrzynkę

z konserwami i własnoręcznie wyrzucił z łodzi.

— Każda godzina podróży balonu—zawołał— uwalnia nas od pięcio- czy sześciodniowego marszu wśród niesłychanych trudności!

Na widnokręgu pojawiła się ciemna, równa linia. I Stanisław i sir Elliot chwycili lunety w ręce.

— Oto, otwarte morze, komendancie—oświadczył amerykańnin.—Nie można się pomylić. I jeżeli chcemy wylądować, to nadeszła ostatnia chwila po temu.

Wszyscy z niecierpliwem oczekiwaniem spoglądali na młodego oficera. Tylko on jeden mógł osądzić, czy balon zdoła jeszcze przelecieć setki kilometrów, dzielące podróżników od lądu azyatyckiego.

Stanisław trzymał w rękę linę ratunkową. W duszy jego toczyła się gwałtowna walka. Czyż nie będzie to wyrokiem śmierci dla wszystkich, jeżeli poprowadzi balon nad otwarte morze? Z drugiej strony, jeżeli wyląduje tu na wybrzeżu, czyż nie skaże ich na długą męczarnię, która również skończyć się musi nieuchronną zagładą?

Najdziwaczniejsze pomysły krzyżowały się w jego mózgu. Tymczasem balon posuwał

się dalej. Od wybrzeży morza oddzielało go zaledwie dziewięć czy dziesięć kilometrów.

— Jedziemy naprzód—zakrzyknął z nagłym postanowieniem i równocześnie wyrzucił znowu trochę balastu.

Balon w wysokości 600 metrów przeleciał nad krańcem lodów polarnych; w pół godziny później wybrzeże wyglądało już jako niewyraźna linia na skraju horyzontu, coraz bardziej ginąca we mgle. Statek powietrzny płynął teraz między niebem a wodą. Na ciemnoniebieskiej powierzchni morza poruszały się zwolna olbrzymie odłamy lodowe, płynące ku zachodowi. Niektóre z nich wyglądały jak prawdziwe wyspy o parokilometrowej powierzchni.

Potem coraz rzadziej dostrzegali pływające lody, wokół rozciągał się bezbrzeżny, opustoszały ocean.

Dokąd lecieli? Czy po drugiej stronie tych wód, znajdowały się bezkresne przestrzenie syberyjskiego lądu, czy poszarpane śnieżne skały północnej Ameryki?

Na pytania te nikt z nich nie potrafił odpowiedzieć.

Aż do tej chwili motor poruszał się ciągle z największą szybkością. Teraz, spojrzawszy na barometr, Stanisław zauważył znowu, że balon opada coraz szybciej. Poświęcił

jeszcze największą z lin, którą zachowywał na wszelki wypadek, ale widział też, że nie zdoła już uratować zbiornika benzyny.

Ponieważ zbiornik znajdował się pod spodem łodzi, trzeba było dotrzeć do niego pod zwisających linkach i drutach. Z nieustraszoną odwagą ruszył Stanisław w tę karkołomną wędrówkę. Niebawem ozwały się pod dnem łodzi uderzenia młotka, któremi kolejno odbijał śruby. Potem zbiornik runął z łoskotem w fale morza, balon, zwolniony od znacznego ciężaru, podskoczył znowu w górę.

I znowu przez godzinę płynęli ponad ciemno-błękitną, wzburzoną powierzchnią morza. Wszyscy wpatrywali się bacznie w krańce horyzontu, gdzie czekało ich ocalenie lub zagłada.

Nagle Krzysia wydała głośny okrzyk:

— Stasiu! tam! tam!

Młody oficer spojrział we wskazanym kierunku.

— Tak, to łąd!—zawołał głosem drżącym ze wzruszenia—to łąd!

— To łąd — powtórzyła amerykanka, jak echo i ogarnięta niewysłowioną radością pochwyliła młodą dziewczynę w ramiona.

— Tak, to łąd — oświadczył miliarder— i to nawet bardzo wysoki. Teraz rozróżniam już dokładnie długie, skaliste wybrzeże.

— Opatrzność czuwa nad nami, Jamesie— dodała pani Elliot.

— Czy to jeszcze daleko, Stasiu?—pytała Krzysia.

— O, bardzo daleko, musimy wyteńczyć wszystkie siły, by móżdż tam dotrzeć.

Istotnie, chociaż świeciła już nadzieja ocalenia, obecnie położenie wędrowców stawało się coraz krytyczniejsze. Stanisław z rosnącym zaniepokojeniem spoglądał przed siebie, w miarę jak zbliżali się ku wybrzeżu. Z wszystkich niebezpieczeństw, na jakie byli dotychczas narażeni, to było niewątpliwie najgroźniejsze. W oddali wznosiła się olbrzymia ściana kamienna, o którą pędzony wichrem balon musiał się roztrzaskać. Jedynym sposobem ratunku było wzlecieć ponad jej szczyty i tam dopiero wylądować. A tymczasem wyrzucili już dosłownie wszystko, co mogło służyć jako balast. Amerykanin odgadł przyczyny przeżalenia, malującego się na twarzy młodego oficera. Dotknął lekko ręką jego ramienia i rzekł:

— Tak jest, tylko jedno może nas ocalić. Musimy wzlecieć ponad skały. Trzeba nagle, w ostatniej chwili, uwolnić balon od znacznego ciężaru. Moje ciało posłuży za balast, którego nam zabrakło, umiem pływać jak ryba; bez trudu, przepłynę dwa lub trzy

kilometry, znajdę już gdzieś jakąś rozpadlinę skalną, lub małą zatokę. Jutro zobaczymy się znowu.

Potem, pochyliwszy się ku niemu, szepnął:

— Przyjacielu, oddaję ci panią Elliot w opiekę. Czuwaj nad nią, gdyby spotkało mnie nieszczęście.

Pani Elliot nie pojmowała zrazu, co jej mąż zamierza uczynić. Dopiero kiedy podał jej portfel z pieniędzmi i książeczkę czekową, zrozumiała wszystko.

— Nie, nie, to być nie może — zakrzyknęła z rozpaczą i silnie uczepiła się jego ramienia, aby przeszkodzić mu w wykonaniu zamiaru.

Miliarder odsunął ją łagodnie i powoli zdejmował futro.

— Panie Jamesie — wmieszał się teraz Stanisław w rozmowę — zamiar pański dowodzi wielkiej odwagi i poświęcenia się dla dobra innych, ale ja nie mogę pozwolić, abyś się pan narażał na takie niebezpieczeństwo. Pływam również dobrze, a jestem młodszy od pana o lat dwadzieścia.

— Przepraszam — przerwał miliarder — tu nie chodzi o wiek, lecz o ciężar. Ile pan ważysz?

— 68 kilogramów.

— A ja 96. Nie ma więc wątpliwości, że ciężar pański nie wystarczy.

— Sir Jamesie — odezwał się stanowczym głosem młody oficer — Jestem wszechwładnym dowódcą na pokładzie i dlatego...

— Już nim nie jesteś — odpowiedział Amerykanin — ponieważ płyniemy już po falach morza. A, wedle naszej umowy, z chwilą tą dowództwo przechodzi w moje ręce.

Istotnie, w tej właśnie chwili łódź balonu zetknęła się z falami.

Stanisław chciał jeszcze się sprzeciwić, ale Amerykanin potrząsnął smutnie głową i wskazał ręką na coraz bliższe wybrzeże.

— Ofiara naszego życia byłaby nadaremna — rzekł — patrz pan, skały te są wyższe, aniżeli się nam pierwotnie wydawało. Balon, dyżący ostatkiem gazu, nie wzleci już ponad nie, nawet uwolniony od pańskiego czy mojego ciężaru.

Skała rzeczywiście wznosiła się niemal prostopadle w górę na wysokość przeszło tysiąca metrów. Uderzające o nią fale tworzyły olbrzymi zwał białych pian. Balon znajdował się zaledwie w odległości trzech czy czterech mil morskich od strasznej przeszkody.

— A gdybyśmy poświęcili łódź — odezwała się nagle Krzysia, przypomniała sobie bowiem scenę z głośnej powieści Verne'go.

— Łódź—powtórzył Stanisław jak echo. W tej samej chwili odruchowo niemal pochwycił siekiere i zaczął rąbać liny łączące łódź z ciałem balonu.

— Tak, to jedyny ratunku—wołał, rąbiąc coraz zacieklej. — Łódź i motor ważą około 1200 kilogramów. Balon, uwolniony od takiego ciężaru, uniesie nas z pewnością ponad skały. Prędkiej! Niech panie wchodzą na drabinę sznurową. Trzy osoby usiądą na najwyższych szczeblach, my staniemy na niższych. Tu bliżej, profesorze.

Mówiąc to, przecinał jedną linę po drugiej.

— Nie troszczcie się o mnie — odpowiedział uczony smutnym, znużonym głosem.

Aż do tej chwili profesor Petersen nie zwracał wcale uwagi na wszystko, co się działo do koła. Teraz nagle podał Stanisławowi swój zeszytik i napisaną przed chwilą kartkę papieru.

— Oto jest prawda — zawołał — Wiedza winna opierać się na prawdzie. Tutaj też znajduje się mój testament.

Łódź trzymała się tylko na ostatnich jeszcze linach. Pani Elliot, Krzysia i miliarder zajęli wskazane im miejsce; Stanisław jedną ręką trzymał się silnie szczebli drabinki, w drugiej dzierżył siekiere, którą przeci-

nał liny, tylko profesor i murzynek pozostawali jeszcze w łodzi.

— Prędkiej! nie ma chwili do stracenia—naglił Stanisław.—Profesorze, wchodź pan na drabinę, Bob, tutaj do mnie!

— Życie moje nie przedstawia już wartości, lepiej, że poświęcę je dla waszego dobra — odpowiedział profesor.

— Na miłość Boga, co pan robisz—krzyknął Stanisław.

Zanim jednak zdołał uchwycić Petersena za ramię, profesor rzucił się naprzód ku burcie łodzi. Gwałtowne wstrząśnienie przerwało sznury, łódź przewróciła się w powietrzu, a uczony i biedny murzynek runęli w spienione fale morza.

Balon poderwał się w górę. Nowe wstrząśnienie zerwało resztę lin, w chwilę później łódź spadała również w morze.

Pod olbrzymiem pomarszczonem ciałem balonu wisiały na wątej sznurowej drabince cztery postacie, z przerażeniem wpatrzony w spienione fale.

Krzysi wydało się, że dostrzega wśród białych pian czarne ciało murzynka, ale nie była pewna, czy ją zmysły nie łudzą.

W parę minut później balon przeleciał nad szczytami skał; nieszczęśliwi wędrowcy

ujrzeli teraz pod swemi stopami obszerną, poszarpaną, kamienistą równinę.

— Ciągnij pan linę! — wołał Stanisław.

Amerikanin nie czekał na powtórne wezwanie. Z całej siły szarpnął linę ratunkową. Opona balonu otwarła się, gaz uciekał gwałtownie, w odległości mniejwięcej dziesięciu metrów dalej żeglarze powietrzni zderzyli się z powierzchnią ziemi.

ROZDZIAŁ XIII.

Dwa testamenty.

Dopomagając sobie wzajemnie, rozbitkowie wydobyli się z pod powłoki balonowej, która nakryła ich w chwili upadku. Krzysia znalazła w pobliżu mały strumień, wypływający z rozpadliny skalnej i pobięła obmyć rany, jakie odniosła, uderzywszy się o ostre kamienie. Radość przepęlniała jej duszę. I ona i towarzysze wyszli przecież cało z tylu strasznych niebezpieczeństw; uniknęli śmierci z zimna, śmierci z głodu, a wreszcie śmierci w falach morza.

Obmywszy zakrwawioną twarz i uporzędkowawszy nieco ubranie, chciała już zawrócić ku balonowi, gdzie pozostali towarzysze. Wtem na dnie strumienia dostrzegła mały, żółty, błyszczący kamyczek. Podniosła go

i postanowiła zachować na pamiątkę szczęśliwego ocalenia. Ponieważ jednak kamyczek był niezwykle ciężki, pokazała go amerykańskiemu, zapytując, czy nie zna jego nazwy.

Sir Elliot zważył kamyczek w rękę, poskrobał go nożem, a potem oświadczył z niezmiernym zdumieniem:

— Jesteś doprawdy czarodziejką, kochana Krzysiu. To czyste złoto. A ponieważ kamyczek waży z górą 100 gramów, mennica nowojorska zapłaci ci za niego w każdej chwili 50 do 60 dolarów. Gdzież go znalazłaś?

Prowadzeni przez Krzysię, poszli wszyscy nad brzeg strumienia. Na dnie jego znaleźli jeszcze sporo złotych grudek, nie ulegało wątpliwości, że znajdują się tutaj bogate pokłady drogiego kruszcza.

— Oto los odpląca nam za przeciwności, jakimi dotąd nas ścigał—odezwała się z powagą pani Elliot.

— A jednocześnie lepiej niż wszystkie mapy świata wskazuje nam, gdzie się znajdujemy.

— Jakto?—zapytał Stanisław.

— Te pokłady złota dowodzą, że jesteśmy na półwyspie Alaska, na amerykańskiej ziemi, w kraju złota.

— Jaka szkoda, że ten biedny profesor nie doczekał tej radosnej chwili—rzekła pani Elliot.

Teraz dopiero przypomniał sobie Stanisław o papierach, które Petersen wręczył mu przed samą śmiercią. Wziął w rękę napisaną przez niego kartkę i czytał głośno następujące słowa:

„MÓJ TESTAMENT“

„Poszanowanie prawdy, którem kierowałem się w ciągu całego mojego życia, zmusza mnie do uroczystego oświadczenia, że podczas obserwacji, dokonanych w mgłach nad polem lodowym, popełniłem wielki błąd. Pomieszałem Polluksa z gwiazdozbioru Bliźniąt z inną gwiazdą tej samej gwiazdnej grupy. Na omyłce tej opierały się wszystkie dalsze obliczenia od czasu odkrycia ziemi Petersena. Wszystkie więc były fałszywe. Wynika stąd również, że nie byłibyśmy na biegunowym punkcie ziemi, jak o tem zapewniałem. Dotarliśmy do niego tylko na odległość 18 mil.

„Ponieważ balonowi grozi niebezpieczeństwo, a życie moje stało się bezużyteczne i dać mi może tylko upokorzenia, wolę złożyć je w ofierze dla ocalenia mych towarzyszy.

„Szczegóły mej pomyłki i jej przyczyny i sprostowanie błędów wyłuszczyłem dokładnie w moich zapiskach, które przekazuję uniwersytetowi w Chrystyanii.

„Kończę chętnie to życie, poświęcone tylko wiedzy i pracy i błagam Wszehmocnego, by dał wieczny spokój mej udręczonej duszy. Oby ofiara doczesnego życia dla bliźnich złożona zapewniła mi szczęśliwszy żywot wieczny“.

Dr. Juliusz Petersen.

Słowa testamentu uczonego wzruszyły głęboko słuchaczy.

— Biedny profesor—szepnęła Krzysia.

— A więc nie dotarliśmy do biegun — odezwał się smutnie Amerykanin.

— Mimoto dotarliśmy dalej, aniżeli inni badacze z wyjątkiem jednego jedyngo Andréego — łagodził Stanisław smutek miliardera.

— I w ciągu całej podróży zawdzięczałiśmy biednemu profesorowi bardzo wiele — dodała pani Elliot, — a do ocalenia naszego przyczynił się także w niemałej mierze.

Na tem przerwali smutną rozmowę. Ponieważ ciało dopominało się także o swoje prawa, nad brzegiem strumienia spożyli pierwszy posiłek na amerykańskiej ziemi. Stwierdzili przytem, że wogóle bardzo niewiele posiadają zapasów żywności.

Pokrzepiwszy się, poczęli czynić przygotowania do czekającej ich wędrówki. Praktyczny amerykańczyk uciął kawałek materii balonowej, dosyć duży na pokrycie namiotu.

Krzysia przymocowała sobie na plecach drabinę sznurową, która w podróży przez skaliste okolice mogła się im bardzo przydać. Stanisław przełamał na dwie części stalowe żebro balonu i zaostrzywszy je na końcach o skałę, sporządził dwie włócznie do obrony przed dzikimi zwierzętami.

Z niezmiernym żalem pożegnali zniszczone szczątki balonu; młodemu oficerowi wielkie łzy kręciły się w oczach.

Potem ruszyli naprzód. Posuwając się wolno z ogromnym trudem, przebywali codziennie około 25 do 30 kilometrów. Wieczorem kobiety wypoczywały w namiocie, obaj mężczyźni czuwali na przemian przy wielkiem ognisku, mającem odstraszać dzikie zwierzęta. Pożywieniem ich były drobne rybki, chwytane w strumieniu i porosty rosnące na skałach. Nieraz głód dokuczał im srodze.

Dopiero w siódmym dniu podróży ujrzeli pierwszą istotę ludzką w tych okolicach. Był to indyjanin, wymalowany jaskrawemi barwami, z pękiem piór na głowie. Chociaż nie umiał porozumieć się z nimi, poczęstował ich kawałkiem pieczonego mięsa, a następnego dnia zawiódł ich do obozowiska swych braci.

Tutaj spotkała młodego oficera nieoczekiwana zgoła niespodzianka. Nagle usłyszał pozdrowienie w języku francuskim. Odwrócił

się szybko i ujrzał przed sobą jednego z dawnych towarzyszy ze szkoły wojskowej.

Młody francuz nazywał się Piotr Cornat. Skuszony opowiadaniem o szczęściu poszukiwaczy złota, porzucił służbę wojskową i udał się do Dawson-City, stolicy Klondyki, a stąd dalej na złotonośne pola. Ale nie służyło mu szczęście. Postanowił w końcu poszukiwać cennego kruszcu w dalszych nieznanym okolicach i dlatego przyłączył się do Indian szczerpu Tamana. Od roku już wędrował wraz z nimi przez góry i doliny, nie osiągając jednak upragnionego celu.

Z wielkiem zajęciem wysłuchał Piotr Cornat opowiadania o niezwykłej podróży balonem, ugościł serdecznie swych nowych przyjaciół, a wreszcie zniechęcony dotychczasowym bezskutecznym poszukiwaniem, wyraził zamiar powrócenia razem z nimi do Francji.

— Nie, drogi towarzyszu — odezwał się wtedy Stanisław — nie pojedziesz do Francji, ponieważ inne korzystniejsze czeka cię tutaj zadanie.

I odprowadziwszy go na bok, objaśnił go o znalezieniu bogatych pokładów złota, oraz oznaczył dokładnie miejsce, gdzie się znajdują.

— Lepiej, by tobie dostały się te skarby, aniżeli panu Elliotowi. On i bez tego jest dosyć bogaty. Jeden tylko stawiam warunek.

Jeżeli poszczęści ci się to przedsięwzięcie, wzniesiesz na wybrzeżu prosty krzyż kamienny i umieścisz na nim nazwisko profesora Juliusza Petersena. Będzie to naszym hołdem dla wielkiego uczonego, który tak tragicznie ukończył życie.

Młody francuz przyrzekł wypełnić sumiennie to zlecenie.

Wypocząwszy nieco w obozie indyan, rozbitkowie wyruszyli w dalszą drogę i prowadzeni przez czerwonoskórych wojowników w parę dni później dotarli do twierdzy Yukun. Chociaż nędzna to była miejscina, składająca się z drewnianych domów i chałup indyjskich, znajdował się tutaj urząd telegraficzny. Dzięki temu Stanisław i Krzysia mogli zawiadomić o swoim losie zrozpaczoną rodzinę. Prócz tego Stanisław wysłał obszerny urzędowy telegram do francuskiego ministerjum wojny, donosząc szczegóły katastrofy balonu.

Dalszą podróż odbywali częściowo na pokładzie statku, częściowo drogą lądową. Niejednokrotnie jeszcze narażali się na trudy i niewygody wędrowni, ale czemże było to wszystko w porównaniu z tem, co już przetrwali.

Po dwudziestu dniach wreszcie dotarła

karawana do Vancouweru, końcowej stacyi kolei międzyoceanowej.

Miliarder otrzymał tu w urzędzie telegraficznym szczegółowy wyciąg ze sprawozdań pism o swej podróży. Z niemałym zdziwieniem przekonali się nasi wędrowcy, że ostatni wysłany przez nich telegram iskrowy, donoszący, że za dwie godziny staną na biegunie ziemi, nie dostał się do przyrządów odbiorczych „Gwiazdy Polarnej“ lecz zaginął gdzieś w pustyniach lodowych. Świat wiedział tylko o tem, że wyprawa balonem dotarła dalej, aniżeli wyprawa Peary'ego i że Amerykanin wygrał swój zakład; nie wiedział nic natomiast o dalszych zamiarach miliardera, nie mógł domyśleć się pomyłek, popełnionych przez profesora Petersena.

W Vancouverze znaleźli wreszcie wędrowcy szwedzkiego tłumacza, który przełożył na język angielski znalezione przez nich zapiski Andréego.

Pamiętnik opowiadał krótko o losach nieszczęsnej wyprawy w ciągu dziewiętnastomiesięcznego zimowania od dnia wyjazdu 2 lipca 1897 r. aż do stycznia czy lutego 1899 roku. Przy ostatnich zapiskach brakowało daty, wszystko wskazywało jednak, że nieszczęśliwi wędrowcy zmarli podczas długiej nocy polarnej w lutym 1899 roku.

Zrazu ożywiła trzech bohaterów nadzieja zwycięstwa, jak świadczyły o tem następujące słowa pamiętnika:

„2 lipca w wysokości 280 metrów—piszę te zdania na przednim dziobie łodzi. Duszę moją przepętnia bezgraniczna ufność w Boże miłosierdzie. Bóg śnieżnych pól i burz jest Panem pełnym dobroci. Płyniemy w bezkreśnym przestworzu pod Jego opieką. Za Jego wolą możemy w niewielu godzinach dotrzeć do bieguna, o którego zdobycie napróżno kusiło się tylu dzielnych podróżników. Jeżeli nawet pycha uwiodła nas do tej podróży, to może Pan nad Pany grzech ten nasz wybaczy“.

.....

„3 lipca w wysokości 460 metrów—Bogu niech będzie chwała. Potęga orkanu, który nas niesie, musi w ciągu 8 godzin zapędzić nas na biegun. Gdybyśmy nawet nie dotarli do niego, to w każdym razie przelecimy bardzo blisko. Jakie będą wówczas nasze losy? Nie śmiem przenikać, nie śmiem nawet myśleć o tej tajemnicy“.

Dalsze zdania pamiętnika świadczyły, że niedługo później zdarzyła się katastrofa. Balon starł się gwałtownie ze skałą lodową ukrytą wśród mgieł. Strindberg, strażujący na dachu łodzi, runął w śnieżne otchłanie; balon

poderwał się wysoko w górę, lecz niebawem, z pękniętymi wentylami, począł znów opadać coraz szybciej.

„4 lipca. — Przez kilka godzin rozglądaliśmy się zrozpaczeni w koło, mając jeszcze nadzieję, że zdołamy odszukać nieszczęśliwego towarzysza. Teraz nie możemy już wątpić już dłużej: zginął, stanął przed Boskim sądem. I my jesteśmy zgubieni. Nikt nie będzie nas szukać w tych odległych okolicach, nikt się nie dowie, co się z nami stało, bo nieśmiem żywić nawet tej nadzieji, aby gołębie pocztowe, które właśnie wypuszczam, doleciały szczęśliwie do ojczyzny. Zginą tak samo jak my w tej śnieżnej krainie śmierci. Skalne wzgórze osłania nas przed srogością burzy. Tu pewnie wykopimy grób dla siebie“.

W dwa dni później pisał Andréé:

„6 lipca. — Nadaremno przeszukiwaliśmy całą okolicę; nadaremno wołaliśmy i strzelali. Śnieg pada olbrzymimi płatami i pokryje na wieki śnieżnym całunem zwłoki nieszczęśliwego Strindberga. A co nas tu czeka? Oby Bóg wszechmocny zlitował się nad nami i skrócił nasze męczarnie“.

Dalsze ustępy pamiętnika opowiadały o strasznej zimie, jaką już skazani na zagładę podróżnicy przeżyli w tych okolicach. Mieszkali w wykopanej przez siebie grocie

lodowej, żywili się resztką konserw i mięsem paru zabitych białych niedźwiedzi. Pewnego dnia Fraenkel wpadł w głęboki otwór wykopany w lodzie. Andréé wyciągnął go na szczęście z wody lecz chorego już na zapalenie płuc. W październiku 1898 roku Fraenkel rozstał się z życiem.

„18 października. Nie mam ani siły ani odwagi, by wynieść z grotty zwłoki mego biednego przyjaciela. Prostu przeraża mnie samotność, jaka zapanuje tutaj, gdy jego już nie będzie. Mróz, wzrastający z dnia na dzień, powstrzymuje rozkład ciała zmarłego. Wolę pozostawić tu jego zwłoki, będę wyobrażał sobie, że śpi. Och! gdybym ja mógł spać tak spokojnie!“

„21 października. — Brak mi już sił do wyjścia z grotty, choć wiem, że powinienem postarać się upolować jakąś zwierzynę. Zapas konserw jest już coraz mniejszy. Wystarczy może na miesiąc, może na dwa. Boże! dodaj mi sił do wytrwania“.

Dalej zawierał pamiętnik tylko szereg oderwanych zdań, nie zaopatrzonych datą.

„Przeraża mnie spokój i nieruchomość Fraenkla, a jednak czasem wydaje mi się, że dostrzegam jakby błysk jakiś w jego kurczem śmiertelnym rozwartych żrenicach.

„Spożyłem dziś ostatnie pudełko konserw. Pozostała mi jeszcze tylko świeca. Oszczędzam każdy jej kawałek. I nie wiem, co straszniejsze: głód czy ciemność.

„Wydaje mi się, że spałem długo, bardzo długo. Nie liczyłem dni, ale zapewne nadeszły już święta Bożego Narodzenia. Boże Narodzenie! We wszystkich domach w mej ojczyźnie zapanowała radość. Choinki błyszczą jarzącem się światłem. W ojczyźnie mojej nawet śnieg błyszczy radośnie. Czemuż porzuciłem wszystko, co kochałem?“

Potem jeszcze parę słów pisanych widocznie w ciemności:

„Nie ma już światła! A przecież wydaje mi się czasem, że ta grota jest przepelniona jasnością. Czy są to tylko złudy chorego umysłu?“

„Żegnaj ukochana Szwecyo! Żegnajcie rodacy! Żegnajcie wy, którym los żyć pozwala.

„W ręce Twoje Panie oddaję ducha mego.

Krzysia rozplakała się, usłyszawszy ostatnie słowa, napisane drżącą ręką na pożółkłym papierze. Wszak i im także zagrażał tenże sam los, gdyby miłosierny Bóg nie był się ulitował nad niemi.

EPILOG.

Zarówno Krzysia jak i Stanisław pragnęli możliwie najprędzej znaleźć się pośród tęskniącej za nimi rodziny. Mimo to nie mogli jednak wymówić się od udziału w uroczystościach, jakie z okazji powrotu miliardera odbyły się w Nowym Yorku.

Król miedziany Hobson podejmował wszystkich z królewską gościnnością. Przegrany zakład nie sprawił mu żadnej przykrości, natomiast cieszył się niezmiernie tem, że „kochany jego przyjaciel“ Elliot po tylu trudach i niebezpieczeństwach powrócił szczęśliwie do ojczyzny. Co więcej wyraził gotowość przyjęcia raz jeszcze zakładu, tym razem o dotarcie do samego bieguna, gdyby „kochany jego przyjaciel“ sir Elliot miał ochotę raz jeszcze narazić się na podobne niebezpieczeństwo.

Po powrocie do wspaniałego pałacu miliardera, gdzie zamieszkali oboje z Krzysią na czas pobytu w Nowym Yorku, otrzymał Stanisław urzędowy dokument, zapieczętowany herbem Francyi, a nadesłany tutaj za pośrednictwem konsula. Z radością chwycił go w ręce, przypuszczał bowiem, że jest to pochwała, udzielona mu przez rząd francuski za dzielny czyn, jakiego dokonał.

Zaledwie jednak przeczytał pierwsze słowa zbladł jak trup.

Pismo bowiem brzmiało, jak następuje:

„Porucznik Stanisław Kwieciński winien stawić się w najkrótszym możliwie czasie przed sądem wojennym w Paryżu, aby zdać sprawę ze zniszczenia wojkowego statku powietrznego, którego kierownictwo przypadło mu czasowo w udziale“.

Miliarder był przypadkowo świadkiem odczytania listu. Spostrzegłszy zaniepokojenie Stanisława, zapytał o przyczynę.

Młody oficer wyjaśnił, że obowiązek odpowiedzialności ciąży nad nim w każdym razie, czy byłby winnym, czy niewinnym.

— Nie chcę rozstrzygać — odezwał się sir Elliot — czy postępowanie takie jest rzeczywiście usprawiedliwione. Wiem tylko tyle, że dokument ten pozbawi mnie twego miłego towarzystwa, drogi przyjacielu. Bądź pan

przekonany, że do śmierci i nie zapomnę o długach wdzięczności, jakie zaciągnąłem wobec ciebie. Lecz o tem potem. Tymczasem pragnę uiszczyć się z najpierwszych moich zobowiązań.

Mówiąc to, sir Elliot wy dobył książeczkę czekową i podpisawszy jej kartkę swoim nazwiskiem, wpisywał wyraźnie słowami sumę: „dwa miliony pięćset tysięcy franków“.

— Niech pan nie próbuje się opierać — rzekł, zauważywszy protestujący ruch Stanisława. — Przypomnij pan sobie, moją walkę z niedźwiedziem. Nie zechcesz pan chyba tak bardzo mną pogardzać, by niżej cenić moje życie. Zresztą co do tej sumy pogodziliśmy się już w chwili tragicznego zajścia. Wówczas nie chciałeś pan tylko uwierzyć, że będę miał sposobność uiszczyć się z długu. Że się tak stało, a nie inaczej, to nowy tytuł do mej wdzięczności dla pana. Teraz jedź pan spokojnie do Francyi wraz z tą dzielną polską dziewczynką, jakiej równych nie spotkałem na świecie. Niedługo zobaczymy się znowu, bo obowiązkiem moim jest, bym stanął jako świadek w pańskiej sprawie.

.....

Niezwykłe było posiedzenie sądu wojennego, gdy Stanisław Kwieciński stanął przed swymi towarzyszami, a teraz sędziami, aby

odpowiadać za zagładę balonu. Akt oskarżenia zarzucał mu, że, nie posiadając rozkazu ani upoważnienia rządu, wybrał się — w wyjątkowych zresztą okolicznościach — w podróż, która nie rokowała nadziei powrotu.

Ale nawet oskarżyciel stający z ramienia rządu nie domagał się ukarania za to winnego, lecz jedynie udzielenia mu nagany. Orzeczenie to uzasadniono tem, że gdyby nagle wybuchła wojna, Francya byłaby pozbawiona jednej z ważnych jednostek bojowych.

Członkowie sądu wojennego zamierzali właśnie udać się na naradę, gdy obrońca Stanisława Kwiecińskiego zatrzymał ich nagle, aby odczytać depezę następującej treści:

„Z przyjemnością donoszę ci, drogi przyjacielu, że eskimosi odnaleźli nieuszkodzoną zupełnie łódź balonu. Spienione fale wyrzuciły ją na wybrzeże morza w pobliżu miejsca, gdzie, idąc za twemi wskazówkami, natrafiłem na powłokę balonu. Przy sposobności dziękuję ci raz jeszcze za udzieloną mi radę pozostania w tych okolicach, dziś bowiem jestem naprawdę bogatym człowiekiem. W najbliższych dniach wyślę do Paryża znalezione części balonu. Ponieważ razem z tobą kształciłem się w aeronautyce, twierdzę śmiało, że wystarczą drobne tylko naprawy, by balon mógł znowu wznieść

się w powietrze. Jeszcze jedno. Znaleźliśmy przy łodzi balonu niezmiernie śmiesznego stróża, małego murzynka. Wychudł z głodu, lecz nie chciał ani na chwilę odstąpić łodzi, powtarzając ciągle, że czeka na swego pana. Nie było innej rady, jak wysłać go wraz z łodzią i powłoką balonu pod twoim adresem. Oto co chciałem ci donieść. I raz jeszcze serdeczne dzięki za wszystko, co dla mnie uczyniłeś.

Piotr Cornat“.

Odczytanie depezy powaliło w niwecz ostatni zarzut oskarżenia. Sąd wojenny uznał Stanisława Kwiecińskiego wolnym od winy i kary, a co więcej zaproponował ministeryum wojny, by odznaczyło młodego nieustraszonego oficera za trudy, poniesione dla chwały Francyi.

Niezapomniano podkreślić i tego, że trudy te podjął nie rodowity francuz, lecz przybrany syn francuskiej ojczyzny, polak z rodu.

K O N I E C .



45688/2